



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

**Ondraszek słynny dowódzca zbójców w śląskim Beskidzie :
opowiadanie prawdziwe z zeszłego wieku, opracowane podług
najlepszych źródeł historycznych / [wstęp A. B. krypt.].**

Liczba stron oryginału

108

Liczba plików skanów

108

Liczba plików publikacji

109

Sygnatura/numer zespołu **KD I 01018**

Data wydania oryginału **[1889]**

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



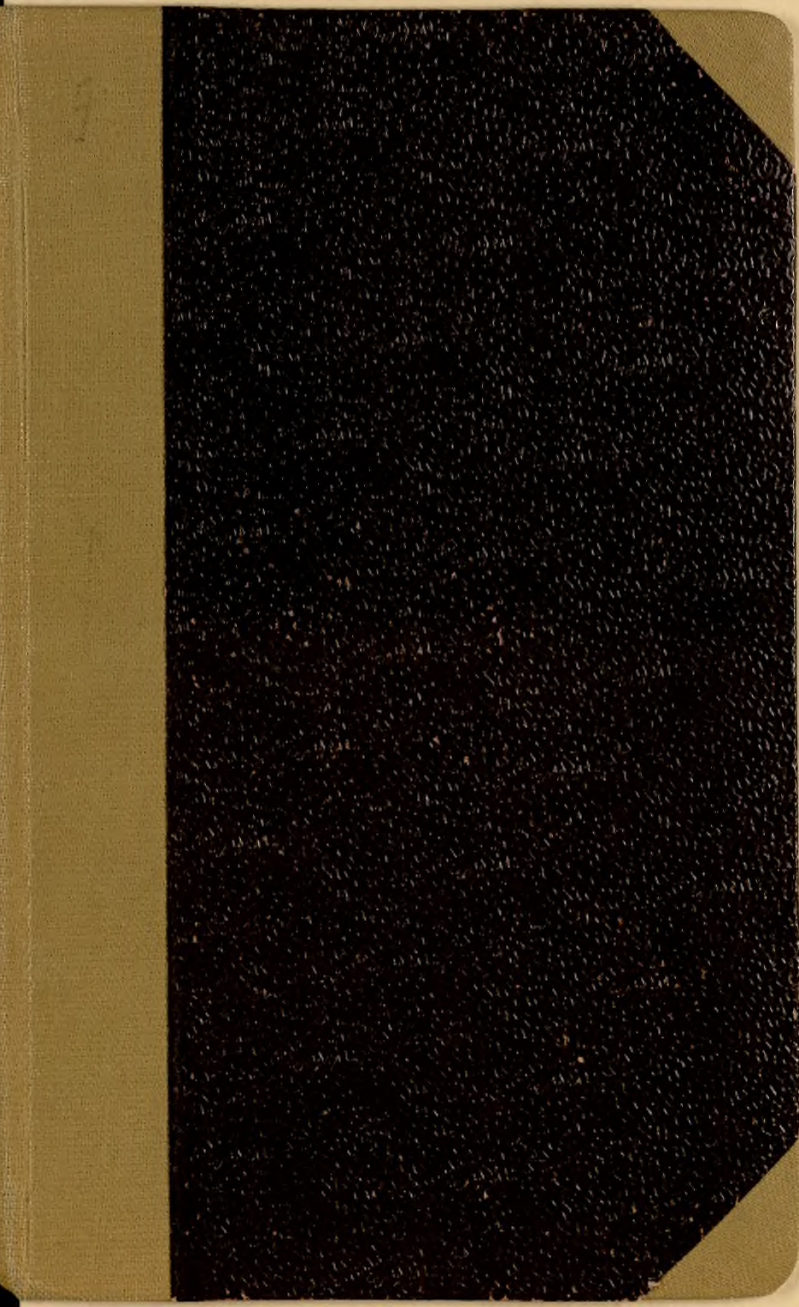
**Fundusze
Europejskie**
Program Regionalny

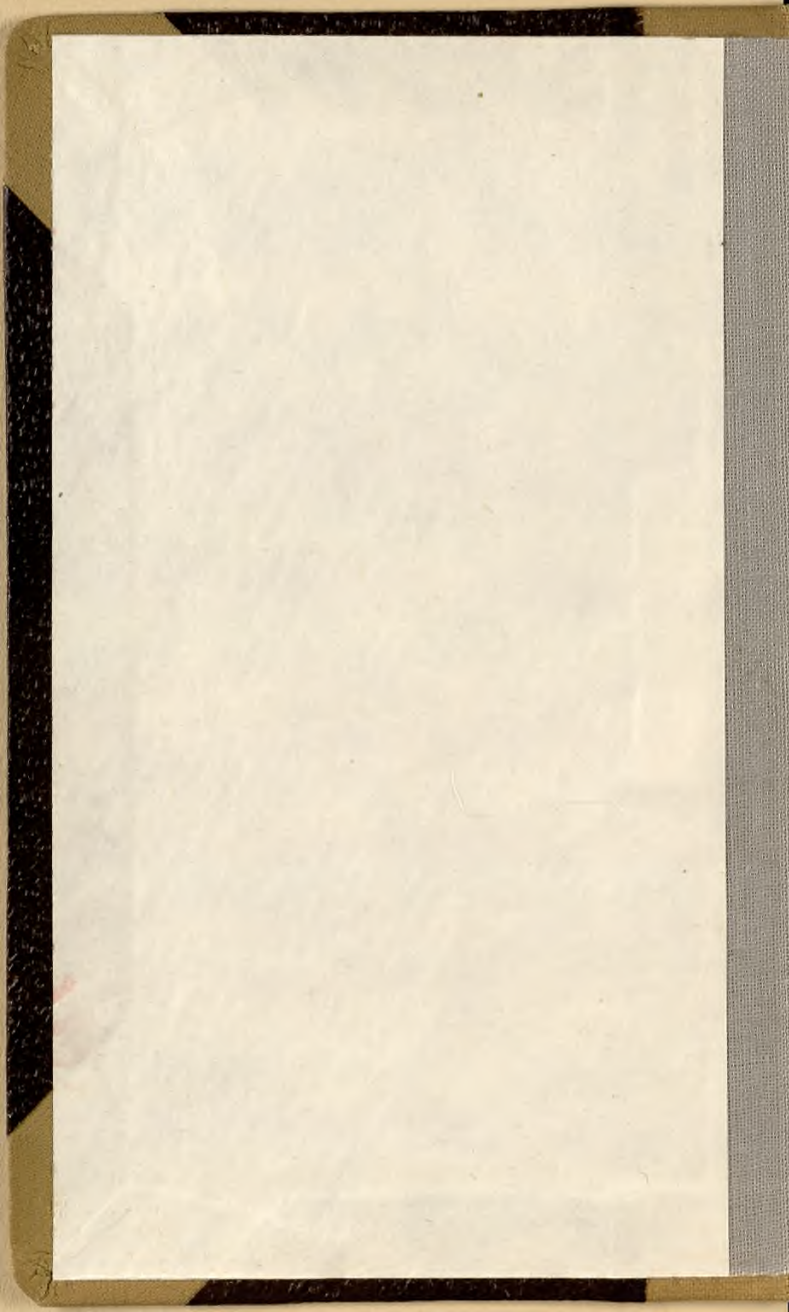


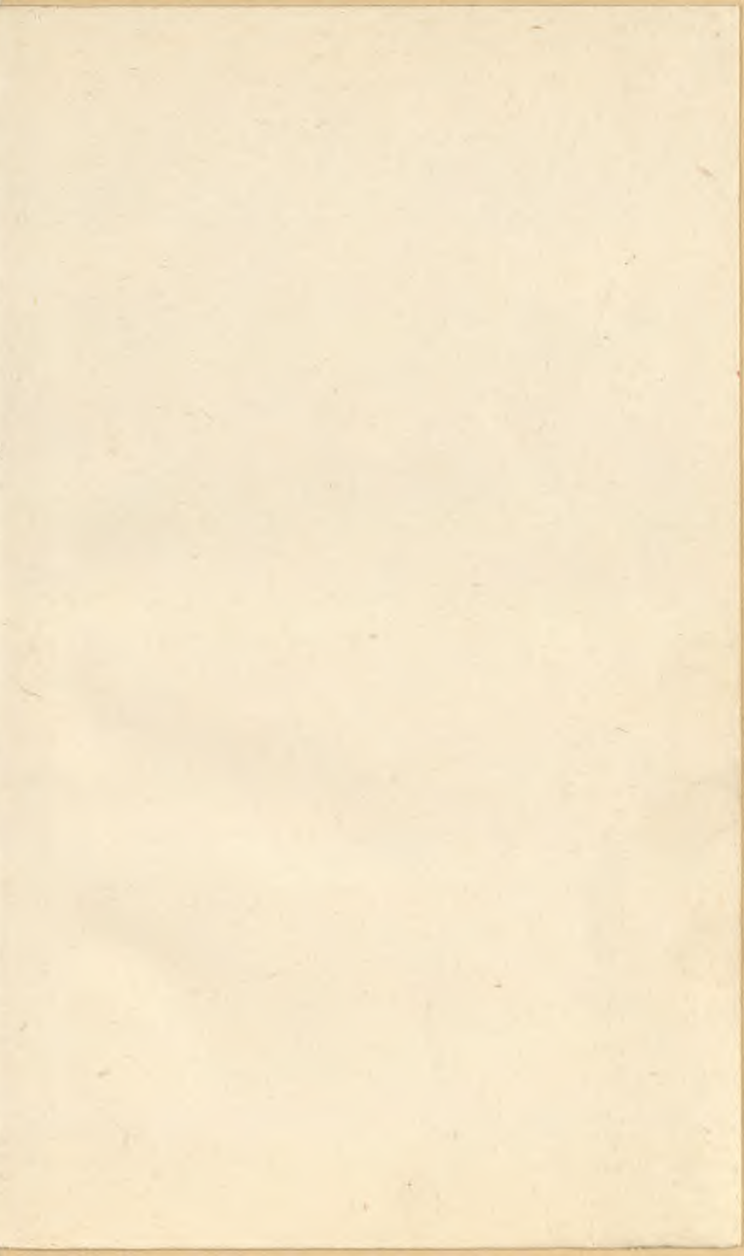
Śląskie.

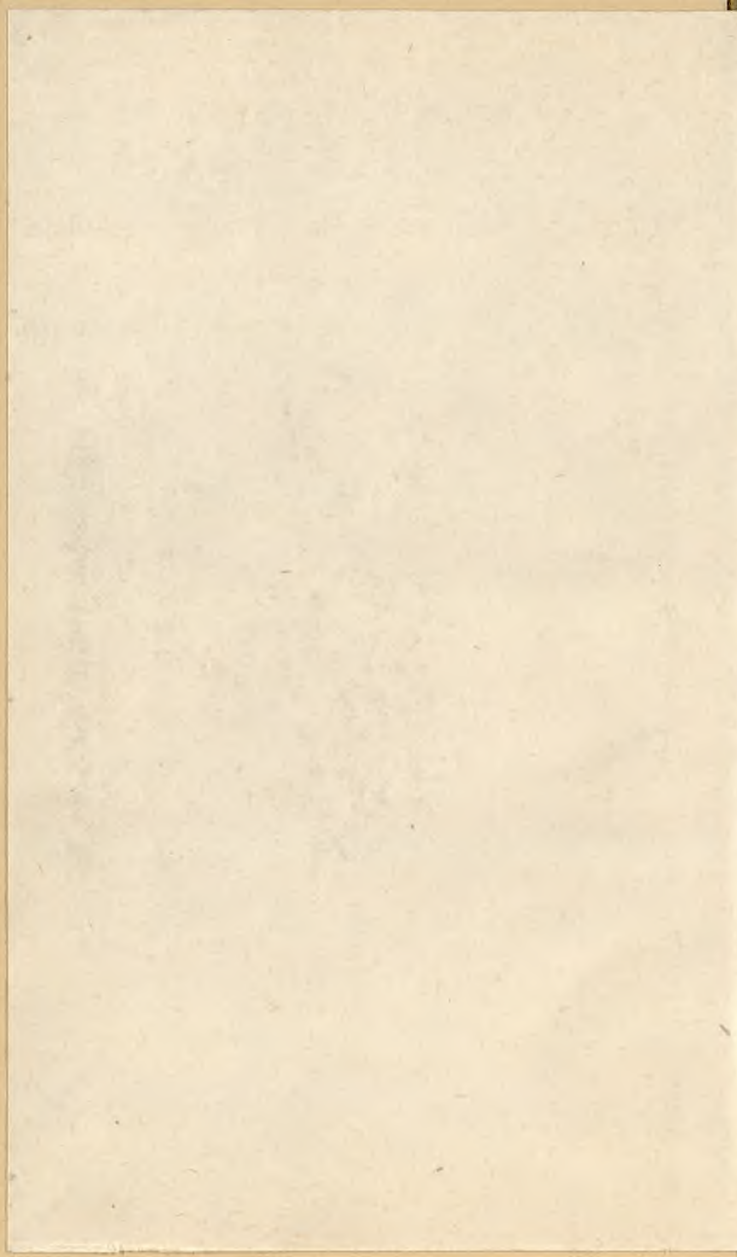
Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego











ONDRAZEK

słynny dowódzca zbójców w śląskim Beskidzie.

Opowiadanie prawdziwe z zeszłego wieku;
opracowane podług najlepszych źródeł historycznych.



W GIESZYNI.

Nakładem Edwarda Feitzingera.



KD I 1018

KD 1018

36

G. i k. nadw. drukarnia Karola Prochński w Cieszyńsku.

JAN BRŮDA

x 38/98
3,00

WSTĘP.

Fantazyja ludowa, lubiąca wszystko nadzwyczajnemi oblekać barwami, postaci z łona jej wyszłe apoteozować, nawet złe łagodzić a często do bohaterstwa podnosić, zrobiła także ze zwykłego zbójcy Ondraszka postać bohaterskiego zakroju, idealną i piękną, która od wieku po dziś dzień żyje i żyć będzie długo jeszcze a może i wiecznie we wdzięcznej pamięci ludu.

Aby apoteozowanie to stało się dla nas jasnem i zrozumiałem, musimy zwrócić uwagę czytelnika na ówczesne stosunki. Wzgląd na nie choć w części wytłómaczy nam tę pochłópnosć ludową w oblekaniu zbójcy blaskiem jakimś cudownym, mistycznie-bohaterskim.

Czasy, w których występuje ulubiony przez lud szląski zbójca Ondraszek, były jednym pasmem lat brzęmiennych w rozruchy, niepokoje, napady i wynikiłe stąd choroby, dziesiątkujące lud wyczerpany głodem, niedostatkiem i ciągłą niepewnością, a więc najwyższym rozstrojem fizycznym i duchowym. Byłoto w pół wieku po wygaśnięciu książąt cieszyńskich z rodu Piastów. Lata panowania Leopolda I. (1657—1705) i następne wrzały ustawiczną wojną. Prowadzono ją głównie z Turcyą i połączonymi z nią Węgrami. Ci Turcy i Węgrzy, przechodząc przez księstwo cieszyńskie, niszczyć ogniem i mieczem szląskie gminy i miasta, dali mu się najdotkliwiej we znaki. Poczuly ich rękę

kraje rakuskie, najbardziej wszakże Śląsk i Morawa. Na gwałty te cesarz Leopold I. nie mógł odpowiedzieć orężem, bo wojska jego rozlokowane były nad Renem przeciw Francyi i nie mógł stamtąd ani części ich cofnąć. Pozostałe zaś w kraju garstki załogi ani mogły marzyć o jakimś odporze; siedziały też cicho, nie chcąc się na rozbiecie narażać.

Tymczasem Węgrzy, na których czele stał Emeryk Tököly, coraz więcej poczęli się rozzuchować i poprostu drwić i lekceważyć sobie ludy rakuskie. W r. 1682 oddział Tökölczyków, liczący 3000 ludzi, jak lawina wpadł z siłą uraganu przez Żywiec na granicę Śląska do Bielska, zniósł strażę, popalił wszystkie po drodze miasta, wsi i przysiółki, które zrabował ze szczerem i zniwelował ze ziemią; jego ofiarą padło 35 mieszczan bielskich i proboszczów, których rozewiartowano na części; padło wiele bezbronnego ludu płci obojga i różnego wieku po gminach — słowem, gdzie tylko przeszła falanga Tökölczyków, wszędzie pozostawiła za sobą trupy, gruzy i popioły. Pohulawszy sobie w ten sposób, ostrożny, by nie wpadł w łapkę, z łupem przez góry powrócił do Węgier. Chcąc wszakże zaniepokoić mieszkańców, a pewność siebie, odwagę i śmiałość prawie bezczelną rzucić w oczy przełęcznionym, wysłał przed odwrotem swoim posłów do Cieszyna, że wkrótce przybędzie znowu z wizytą do ogrodów śląskich; aby więc przygotowali dla niej już naprzód największe ile możliwości tylko bogactwa. W przeciwnym razie, gdy woli jego nie uczynią zadość, wszystko zrówna ze ziemią.

Ogólna panika była odpowiedzią na ten głos Tökölego. Miasta gorączkowo wzięły się do obwarowywania, zabezpieczania się wałami i palisa-

dami, wszystek lud zbroił się z zapalem, każdy dwudziesty mężczyzna ze wsi musiał stanąć pod bronią. Zwycięstwo króla polskiego, Jana Sobieskiego, który zagrożonej wiedeńskiej stolicy z bohaterką swą armią pospieszył na pomoc i zwycięstwem, jakiego historia mało daje przykładów, złamało raz na zawsze potęgę Turcyi i jej sojuszników — sprowadziło na jakiś czas spokój w całym cesarstwie, a więc i na Szląsku. Jednak długie jeszcze potem upływały lata, zanim Szląsk wolną odetchnął piersią i zanim Węgry całkowicie się uspokoiły, księstwo cieszyńskie niejednę jeszcze doznało plagi. Przez Cieszyn przechodziły lub tutaj załogą stawały różne wojska, ciągnące na pomoc cesarskim, które srogo od nieprzyjaciela wyczerpany i z sił swych żywotnych wyssany kraik eksploatowały. Duńczycy, Sasi, Szwedzi, Irlandczycy, Włosi itd., gwałtem wydzierali zubożałym mieszkańcom co mogli: bydło, pieniądze, ziarno i mąkę, konie i cokolwiek się dało tylko wziąć z dobytku, ubrania nawet i pościel. Skargi zanoszone przed dowódców były bez skutku; kazano im na dobitek złego jeszcze dostarczać dla wojska żywności, a o rachunkach nigdy ani mowy nie było. Lud odchodził już od przytomności, rozpacz jego była niezglębiona, ale bezsilna. Do tego wszystkiego, naturalnym wynikiem rzeczy, przyłączył się najstraszniejszy nieprzyjaciół, mór, który nie dziesiątkował już, ale dwójkował mieszkańców. W jednym roku Szląsk wyludnił się tak, jak kilkoletnie wojny kraju wyludnić nie mogą. Biedni chcąc ratować swe życie, gotowali sobie jedzenie ze słomy i trawy — że ono nie mogło sił ich podtrzymać, ale jeszcze w różne choroby i w tyfusy głodowe wpędzało, rzecz jasna. Nawet

Sam rząd nie mógł przyjść z pomocą, owszem wojnami i łupieżami tymi zrujnowany do szczętu, chcąc wybrnąć z okropnego położenia i egzystencyą państwa ratować, zmuszonym był nałożyć na poddanych ogromne podatki, akcyzy i zaprowadzić opłatę z tytoniu. Wskutek tych wszystkich przyczyn, tych ciężarów niemożliwych do znoszenia dla upadającego z każdym dniem ludu, powstała taka straszna nędza, a z nią taka rozpacz w narodzie, że tylko błagano Boga, aby ich ratował, bo nigdzie indziej nie znajdowali ratunku.

Łatwo pojąć, że taki stan rzeczy mógł doprowadzić wielu na złe myśli i grzeszne pożądanja, że mnożyli się złoczyńcy, którzy tą drogą, nie mając innej, chcieli byt swój poprawić i z pod obowiązujących każdego praw się usunąć.

Powstał i z pośród ludu taki wolnomyślny, który nie mogąc patrzeć na to, że lud umiera i upada z głodu i z nędzy, z braku najprymitywniejszych potrzeb, a bogaci, których w każdym razie zawsze dość jest jeszcze, nie idą mu z pomocą, lecz jak ślimaki egoistycznie zasklepiają się w swych własnych tylko skorupach, których ucho głuchem jest na prośby nędzarzy, wznoszone do nich i ręce wyciągnięte z prośbą o kawałek suchego chleba, brutalnie odtrącają — powstał z myślą, przybiec temu ludowi na pomoc i choć nieprawym sposobem mu pomagać, powstał w szląskim Beskidzie Ondraszek, zbójca, około którego wnet skupiła się cała banda podobnych. Tak przynajmniej lud po dziś dzień opowiada, że Ondraszek nigdy go nie pokrzywdził, ale zabierając bogatym, biednym zabrane łupy rozdzielał. Stąd ta wdzięczna pamięć o nim zachowana z pokolenia w pokolenie.

Ze fantazyja ludowa w daleko lepszych i świetniejszych blaskach nam go dzisiaj przedstawia, niż było w istocie, rzecz bez zaprzeczenia pewna; ale nie dziwić się nam temu zjawisku. Rzecz nawet małej wagi, czyn wcale nie odznaczający się, bohater bardzo nikłej zasługi, przechodząc przez wyobraźnię pokoleń, coraz bardziej rośnie, potężnieje, olbrzymieje i coraz więcej idealniejsza otacza go aureola. Złe strony giną, tło się coraz bardziej wyjaśnia, aż staje się zupełnie prawie czystym i promiennym. Skazy, które nie dadzą się zatrzeć, przypisuje ta żywa wyobraźnia jedynie przypadkowi, złe czyny swego bohatera podkłada złym duchom, które mu je w celu szkodenia prze-mocą poddawały. I tak z rozbójnika staje się wreszcie, w ogniu fantazyi przeczyszczony, człowiek nie tylko zupełnie dobry, ale od innych lepszy, wielkiego serca i wielkich czynów, wspaniałomyślny i potężny. Posiada on, ma się rozumieć, niebywałą siłę fizyczną i zręczność; jest piękny, poetyczny i jak ptak kochający wolność świętą i swobodę. Przymioty takie, czy prawdziwe, czy tylko fantastyczne, stawiają bohatera wysoko ponad poziom i czynią z niego coś cudownego, nadprzyrodzonego, niemal bożyszczę, do którego się modlą, o nim marzą, śpiewają i w tysiącnych czyny jego głoszą opowieściach. Te same koleje ludowej wyobraźni przeszedł i Ondraszek. To samo światło oblewa postaci takich Rinaldinich, Fra Diavolich — a u nas Doboszów i Janosików.

A. B.



Rozdział I.

Przyjście na świat Ondraszka i jego młodość.

Wzdłuż granicy szląsko-węgierskiej rozciągnęło się szerokie pasmo prześlicznych wzgórz, wystrzelających tu i ówdzie wyższém wzniesieniem, jak wieżycą olbrzymiej świątyni, nakrytych niby szmaragdowym, aksamitnym, królewskim płaszczem — borami szumiącymi poważnie, a oblegającymi jak wielka armia wszystkie tych wdzięcznych gór stoki. Tu i tam jak srebrna łuska węża zabłyśnie w słońcu, na odkrytem miejscu, z szmerem sącząca się górską jaka struga; tu utworzy się jakaś na złomach skał wstrzymana kaskada, która spada na dół, często z kilkunastopiętrowej wyżyny z junackim łoskotem, wrzeniem, perlistą mgłą jak zawojem u góry się nakryje, skoczy w czeluście skał i zginie, na inném znów wyskakując miejscu; tu i tam podleci w górę ptak górski, co w skrzydła szerokie zatrzepie i lekko jak duch wzbije się w górę ponad te szczyty i urwiska, na które noga ludzka wejść się nie odważy; gdzieś dzwonki pasących trzód się ozwą, fujarka pastusza zajęknie, helokowanie jak fajerwerk akustyczny rozbrzmi, upadający pień zmurszałego drzewa stęcznie, z dolin psa szczekanie aż do góry na skrzydle wiatru podleci — i zresztą cisza, spokój jakiś ściągnięty, świąteczny. To piękne pasmo górskie, które zawarło sobą wejście od strony Węgier, obłonkową tylko rozłupane przełęczą — to Beskid zląski, kolebka pięknej królowej naszych rzek, Wisły.

A jeśli rozglądniemy się po wierzchołkach tego szląskiego Beskidu, oko nasze spocznie najpierw na szczycie, wysoko strzelającym w górę, z głową jak u starego filozofa złysiałą, na szczycie tz. Łysěj góry. Łysa góra, któremuż Szlązakowi nie znana, jeśli nie z natury, to z śpiewów przynajmniej i rozlicznych pięknych tajemniczych opowieści? Tu przecież koncentruje się życie całego nadzmysłowego świata, tu królują bezkarnie nadziemne i podziemne duchy, tu szatany, nad zagłębłą ludzkiego pracujące rodu, się schodzą, by wspólnie się porozumieć, tu czarownice na nowiu księżycu odprawiają swe wiece, tu mieszka król węzów, złotogłowiec, twór również nadzwyczajny i tajemniczy, tu jest panteon wierzeń, legend, skazek, podań i przesądów szląskiego ludu.

A pod tą Łysą górą, tylko spojrzycie lepiej, oto w niewielkiem oddaleniu, na piersiach uśmiechniętej jak dziewczica dolince, w wieńce drzew, jak w mirtową koronę ubranej, bieleją się jak szklanne lub porcelanowe paciorki na szyi dziewczęcia, domki i zagrody jakieś. To wioska Janowice. Dzisiaj śmieje się ona do nas niby płocha szlązaczka; ale dawniej, dawniej, w tych czasach, których człowiek już niepamięta, była to poważna matrona. Dokoła niej, jak organy w świątyni, szumiały nieprzejrzane okiem lasy, a w lasach mieszkał zwierz dziki. Fizyognomia okolicy pierwotna, była surowa i poważna, sprawiająca wrażenie siły i potęgi. Dzisiaj, gdy lasy już przetrzebiono, gdy zwierz wyginał, a w miejscu przeważnej części tych borów powstały łączki lub kwiatami upstrzone polany, fizyognomia jaśniejsza jest, weselsza jak dawniej, ale też nie wywiera na widzu tego wrażenia podniosłej majestatyczności, wdzięk tylko dziewiczy pozostał

główną jej cechą. Janowice dawne — to matka; dzisiejsze — to jej córka, młoda i wesolutka.

Podobnie jak zewnętrzna fizyognomia, zmienił się także i charakter wewnętrznego życia tej wioski. Życie to było nie ozłocone promieniami wiedzy, nieogrzane ciepłem jakiegós nauki. Karczma już stała i wówczas, ale szkoły ani w Janowicach, ani daleko w okolicę na mil kilka nie znalazł. Było to życie więcj do stanu natury, do dzikości zbliżone, realne, oglądające się tylko na ciało i dobrobyt doczesny, a mało troszczące się o potrzeby duszy.

Wójtem Janowic, w owe czasy, do których opowiadanie nasze się odnosi, był niejaki Ondrasz Szebesta, siedlak wolny, zamożny, ale i jak drudzy, bez nauki. Utrzymywał on także we wsi główną karczmę, był więc karczmarzem i wójtem zarazem. Ale nie można mu było nic zarzucić; dwie czynności swoje: urzędowanie i szynkowanie umiał z sobą pogodzić i każdej zadość uczynić; przytém był człowiekiem poczciwym, litościwego serca i pobożnej duszy.

Zona jego, Dorota, kobiecina takichże samych przymiotów. Kochali się Szebestowie nawzajem i żyli przykładnie; Bóg jednak miłości tej jakoś nie błogosławił. Szebestowie nie mieli dzieci. Aby wybłagać od Boga tę łaskę, której tak pragnęli, dawali oboje na msze święte, na ubogich i na szpitale, chodzili po odpustach i po różnych miejscach świętych, byli aż na Jasnej górze, we łzach i pokorze, gorąco modląc się o pobłogosławienie miłości ich synem, któremuby majątek i serce swoje oddać mogli. Ale lata upływały za latami, Szebestowie nie przestali chodzić po odpustach, dawać na ubogich, szpitale i modlić się — mimo

tego modlitwy ich i dobre uczynki nie zostały nagrodzone.

Tak upłynęło lat dziesięć! Pewnego wieczora, siedząc na przyźbie domu, spoglądali Szebestowie prawie z zazdrością na bawiące się sąsiadów dzieci, na ich jasne główki i wesołe, uśmiechnięte twarzyczki.

— Ach, mój Boże — westchnęła Szebestowa — jakież to milutkie te dzieciaki, jakąż one muszą być pociechą rodziców. Boże, Boże, cóżemy zawinili, że nam Bóg téj radości, tego szczęścia odmawia. Pracujemy pocziwie, nie marnimy zapracowanego grosza, nie żyjemy z sobą w rozterce, nie dajemy złego przykładu drugim, nie oszukujemy kupujących — a Bóg jakoś zapomina o nas. I na kogóż nam pracować, dla kogóż zbierać pieniądze i przymnażać dobytku!

— Och, — odrzekł na to Szebesta, smutnie kiwając głową — Bóg, Bóg... te... tego (wpadając w złość) Bóg jest niesprawiedliwy. Bodajby mi djabeł dał syna, kiedy On nie chce.

Szebestowa przelekła się bardzo tą mową, zawsze statecznego swego męża, poczęła go więc karcić za ten grzeszny gniew i grzeszne odwoływanie się do czartów.

Szebesta, ochłonawszy z gniewu, jako człeczyna z gruntu dobry i pocziwy, zasumował się również bardzo i żałował tych słów w przystępie gniewu wypowiedzianych. Modlił się znów do Boga, by mu grzech przebaczył, poszedł się zaraz na drugi dzień spowiadać, ale słowa raz wypowiedzianego odwołać nie można. Szatan, czyhający tylko na podobną sposobność, słowo podchwycił i zadość jemu uczynił.

Po kilku miesiącach Szebestowa istotnie była już w nadziei. Ale choć z razu wesoło to oznajmiła mężowi, później, gdy na klątwę męża i na ten rezultat jej wspomniała, w wielki popadła smutek. Mąż pocieszał ją wprawdzie, że spowiedź i dobre uczynki, a głównie okoliczność, że klątwy tej nie wyrzekł z przeświadczenia, iżby lepiej mieć dziecie od diabła jak od Boga, ale w przystępie goączkowego gniewu, który istotę grzechu łagodzi — że to wszystko Boga musiało przebłagać i że tan jej nadzieiny, nie jako skutek klątwy, ale skutek długich modłów i pokory powinien być uważany, — Szebestowa przecież nie była tego pewną i spokój jej nie mógł być prawdziwym. Dnia rozwiązania oczekiwała i z radością i z trwogą modliła się po dniach całych, aby syn, którego powije, dziecięciem bożem był, a nie szatańskim.

Wreszcie nadszedł dzień oczekiwanych urodzin. Było to w piątek o północy, roku pańskiego 1680. Pograżonych w śnie mieszkańców Janowic zbudził w tej godzinie straszny huk i łoskot, który wszystkich nadzwyczajnie przeraził i z ciepłych łóżek jak na alarm wyciągnął na pole. I oto spostrzeżono olbrzymią ognistą kulę, która z świstem i szumem, kręcąc się jak wrzeczono i sypiąc w koło jak fajerwerk iskrami, padła na dziedziniec domostwa wójtowskiego i tam z łoskotem w drobne ozsypała się części. Ale podczas gdy wieś cała na ten widok truchlała ze strachu, wójt, choć jego o najwięcej mogło zelektryzować, z wesołym na ustach śpiewem skakał do najwyższego rozradowany topnia i pohukiwał sobie z wszystkich sił, bo właśnie w tej chwili narodził mu się tak długo oczekiwany i upragniony syn, spadkobierca. Radości ojca nie było końca, ścisnął i całował nie-

mowę i omal je nie udusił. Tymczasem Janowczacy kiwali głowami i na ucho mówili sobie po cichu: »ej, coś w tem będzie, coś będzie! Szebeście urodził się syn, to prawda; syn dawno upragniony, ale czy wielką będzie miał z niego pociechę, któż wie? Podobno przywoływał pomocy czarta! Być może, że to czartowskie dziecko, kiedy takie nadprzyrodzone oznaki towarzyszą jego urodzeniu! Któż to wie, któż wie?«

Wieść o nadzwyczajnem zjawisku obiegła wkrótce nietylko Janowice, ale i okolicę całą. Wszyscy przypisywali mu coś nadzwyczajnego, coś, co nie zbyt dobrą wróżyło przyszłość nowonarodzonemu.

W kilka dni odbył się chrzest chłopaka. Dano mu imię ojca: Jędrzej, czyli jak brzmi w okolicznej mowie, Ondraszek. Chrzcziny przeciągnęły się, jak najsutsze wesele, na dni kilka; zaproszeni byli wszyscy Janowczanie i co lepsza z najdalszej nawet okolicy. Bawiono się wyśmienicie, tem bardziej, że sam gospodarz w niezwykłym był humorze. Wystrzały i okrzyki rozweselonей drużyny odbijały się daleko po okolicznych górach, skałach i jarach.

Na pamiątkę urodzin zasadził także wójt przed domem swym lipę, aby była na długie czasy wspomnieniem dla syna samego i wnuków.*)

Chłopiec rósł jak młody buczek w lesie, zdrów jak ryba, jak stal giętki, jak koza zręczny a jak żelazo wytrwały na wszystko i zahartowany. Zahartowanie to wszakże tyczyło się tylko fizycznego malca organizmu, ale nie stanu jego duszy, mo-

*) Lipę tę ściał w r. 1866, 5. grudnia, nowonabywca poszebestowskiej karczmy.

ralnej jego istoty. Chłopak ledwie zaczął chodzić ledwie w koszulinie wybiegł poraz pierwszy na pole, a już poznali sąsiedzi, co to za ziółko. Nie dał przejść koło siebie nikomu spokojnie, uderzał na każdego śmiało, rzucając nań błotem, kamieniami lub bijąc z całych sił potężnym kijem, który, choć malec taki, nietylko w rękach silnie trzymać, ale i wywijać nim mógł z całą swobodą. Najbardziej wszakże dokuczał żydom. Gdy żyd jaki pojawił się u jego ojca, na widok malca w koszuli musiał uciekać lub kryć się w drugiej izbie i zamykać, bo mały Ondraszek nierzadko nawet brał się do noża i z całą zapalczywością wbijał go w nogi lub ręce, a nawet brzuch i piersi przychodnia. Ojciec zaś patrzył na to z uśmiechem, w najgorszym razie odbierał smarkaczowi niebezpieczne narzędzie, ale nie ukarał ani nie zgromił go nigdy. Mówił tylko, biorąc się ze śmiechu pod boki: »Patrzcie no, co to za junak. Oho, będzie z niego człowiek.« I w dodatku całował jeszcze zuchwalca w czoło i w usta. Matka tak samo zachowywała się względem niego; nigdy słowo gromiące z ust jej nie wyszło, nigdy palca swego nie położyła na malcu. Uchodziło mu więc wszystko i od kolebki już przyzwyczajał się do niesforności, zuchwałości i rozbestwionej swawoli.

Tak to czasami zaślepieni w dziecku swem rodzice, przez nieroztropne pobłażanie i miłość bezwzględna, podkładają sami własnymi rękami pierwszy kamień pod gmach przyszłości swego dziecięcia, gmach, który dlań będzie domem zepsucia, wyuzdania, a wreszcie całą więzienną i miejscem zasłużonej, sromotnej kary. Jestto tak, jak gdyby kto zasadziwszy drzewko, tak go nagiął, aby naturalną stało się później szubienicą;

jakby ktoś tak kierował życiem wychowanka lub dziecka swego, aby otrzymać rezultat podług starego przysłowia: »Co ma hakiem być, musi się z młodu krzywić!« Żle to jest tak kochać swe dzieci, tak zaślepić się, żeby błędów ich i wykroczeń nie widzieć i na wszelkie zuchwałości bezkarnie pozwalać. Przecież fizyczne wykrzywienie ciała, fizyczną organiczną wadę staramy się uleczyć — a cóż dopiero mamy mówić o wykrzywieniach moralnych!

O kilku takich psotach Ondraszka, które równie źle świadczą o stanie moralnym dziecka, jak i wychowawczych usiłowaniach rodziców, opowiadają do dziś dnia Janowczacy, a za nimi cały lud szląski.

Raz np. w niedzielę wybrali się Szebestowie do kościoła. W Janowicach kościoła nie było, oddalenie wynosiło półtóry mili. Jakto zwykle po wsiach bywa, gdzie nie ma na miejscu kościoła, ale w znacznej odległości, nagotuje gospodyni już przy śniadaniu i objad, a gdy z kościoła powrócą, to się tylko potrawy przygrzeją i na stół wprost stawiają. Tak samo praktykowali Janowiczanie, tak samo i pani wójcina Szebestowa. Nagotowała ona wielki żelazny garnek pełny klusek z mlekiem i odstawiła do szafy. Skoro tylko zamknęły się drzwi za rodzicami, którzy malca samego odważyli się zostawić w domu, mały Ondraszek dalejże szukać po kątach tych klusek. Wreszcie znalazł je i jakże się ucieszył! Nowa psota przyszła mu do głowy. Kiedy już ludzie po kilku godzinach powracali do domów, a większa część ich musiała przechodzić koło domostwa Szebestów, jako przy gminnym gościńcu położonego, Ondraszek wydzwignąwszy garnek z kluskami aż na szczyt

dachu, począł częstować przechodniów po łbie z całą gorliwością, śmiejąc się przytem do rozpuku, gdy poplamieni chłopci i poplamione baby złorzeczyły mu i odgrażały. Jakżeż przestraszyli się powracający rodzice, widząc syna w takim niebezpieczeństwie. A nuż spadnie z dachu i kark skręci. Ondraszek wszakże dobrze trzymał się na nogach i o spadnięciu wcale nie myślał; owszem spostrzegłszy rodziców, cały garnek na vivat odrazu zrzucił z góry na ziemię, a sam stanął na samym szczycie dachu na głowie, do góry nogami. Rodzice struchleli prawie, pewni będąc, że synalek teraz na łeb, na szyję spadnie i już żywy się nie podniesie. Ale pocoby się tam naszemu Ondraszkowi zabijać! Jak piskorz ześliznął się na brzuchu po słomianej strzesze i jednym susem był już na dole w objęciach uradowanych tą zręcznością synka rodziców. Poszkodowani wprawdzie domagali się ukarania chłopca, ale wójt i wójcina, śmiejąc się, odpowiadali na wszelkie przedstawienia: »E, coby tam cłek miał bić to małeństwo, tać to jescce durne i głupie; a ze go sie psoty tsymają, no boć zdrowe; ta i wesołe. Dajcie spokój, dajcie!«

Gdy dorósł i pasał już trzodę, całymi dniami widziano go ćwiczącego się w podskokach i przeginaniach ciała. Tak jak gimnastycy, urządzał sobie sam przyrządy różne, na których wykonywał różne ekscesa. Wbijał np. dwa rozsochate drzewka w ziemię, do nich przywiązywał wierzbowe pręty, co podobne było do szeregu nachylonych komediantów, po grzbietach których, każdego drzewca nogą ledwo dotknąwszy, biegał z kocią zręcznością. Zręczności mu więc nie brakło i przewyższał wszystkich wiejskich parobków.

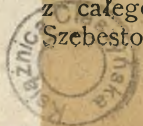
Takie to figle trzymały się naszego Ondraszka. Ludzie wprawdzie dziwnie jakoś kiwali głowami, mówiąc: »Co z tego dziecka będzie?« ale rodzice, w zaślepionej miłości nie widzieli w tem nic więcej nad wesołość i zgrabność. Wszelkie utyskiwanie sąsiadów brali jako skutek zazdrości. »Jak on przyjdzie do lat, spoważnieje; a lepiej żeby za młodu wyszumiał.« Prócz tego zatrudnienia, które ograniczało się na dobrowolnej gimnastyce i przymusowem paszeniu bydła, przyznać trzeba, że miał już Ondraszek i inne szlachetniejsze zajęcie. Poczynał się uczyć. Ojciec cokolwiek, a bieglejsi w czytaniu i w pisaniu dopomogli resztę, i sprytny Ondraszek w przeciągu roku wcale dobrze już pisał i czytał. To zastanowiło mocno Szebestów i poczęli się z sobą i z sąsiadami naradzać, czy go posyłać do szkoły, czy nie. Przymusu szkolnego bowiem nie było.



Rozdział II.

Ondraszek w naukach.

Rok za rokiem na tych naradach upływał, a Szebestowie nie mogli się ostatecznie zdecydować, co do przyszłości syna. Dobrzeby było, ażeby został na gospodarstwie, ale czyż nie są na tyle bogaci, by mogli mu dać lepsze wychowanie i wykształcenie?! Z wychowaniem i wykształceniem przecież idzie szacunek u ludzi i wzięcie, a tego z całego serca pragnęli Ondraszkowi poczciwi Szebestowie.



Każdego wieczora prawie rozmawiali w tej kwestyi. Dorota chciała, by syn uczył się na księdza i księdzem kiedyś został. Kto wie, przy wrodzonym swoim sprycie i talencie może kiedyś dojść wysoko, a nawet zostać biskupem. »Zresztą któż ma u ludzi szacunek największy — mówiła Szebestowa — jak nie ksiądz. A i przysłowie jest przecie stare: «Kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie!» Szebesta wszakże innego był zdania: »Jak księdzem zostanie — mówił — wójtowstwo przejdzie w obce ręce; to raz. Jako ksiądz, nie może myśleć o roli, więc albo się z niej zupełnie wysprzeda, albo wydzierżawi ją komu, który grunt zupełnie wyniszczy. Bądźcobądź ojcowizna upadnie. Niech się kształci, ale niech siedzi na ojcowej grzędzie, a jako człowiek wykształcony, majątek dziesięćkroć razy podnieść może i jako wójt zdziałać dużo dla dobra swój gminy. Jednak nie byli jeszcze zupełnie zdecydowani o przyszłości dziecka; w każdym razie, czy będzie tym, czy tym, niech się kształci, orzekli jednogłośnie.

Ale kształcenie się włościanina w czasach dawnych nie przychodziło tak łatwo jak dzisiaj i nie należało do rzeczy pospolitych. Po pierwsze przystęp do szkół włościańskiego syna był utrudniony; po drugie współwieśniacy nie dobrze spoglądali na takiego, jak zwano »franta«. Poczytywano mu to za pychę, za chęć wyniesienia się nad rodaków, za pogardę rodu i ojczystej ziemi. Dziś, chwała Bogu, rzeczy stoją całkiem inaczej. Dziś najuboższy komornik, ostatni kęs chleba ustom swym odejmuje, aby tylko móc syna do szkół posyłać, i na światłego wy kierować człowieka. I nie może robić rozumniej. Wszak nauka,

to kapitał. Biedny syn komornika lub wyrobnika, a nawet i chałupnika, jakieżby miał znaczenie we wsi i jakież utrzymanie. Najżywotniejsze swoje siły musiałby składać na ołtarzu bardzo słabo rentującej się pracy. Bo jakkolwiek ta praca jego, wysilającą jest może więcej od innej, przecież dla prostoty swój i małej doniosłości, nie może się dobrze opłacać. Podczas gdy praca, w której podstawą jest nauka, stokrotnie opłacić się musi, bo i stokroć razy większy społeczeństwu przynosi użytek. Kto więc zapewnił dziecku swemu wykształcenie, zapewnił mu byt i szczęśliwą przyszłość. Czy to jako urzędnik, czy jako duchowny, jako nauczyciel i profesor, jako rutynowany w swym fachu agronom, leśniczy, czy wreszcie jako wykształcony rękodzielnik — wszędzie on znajdzie umieszczenie i wszędzie będzie mu dobrze. Zabezpieczy byt nie tylko sobie, ale i dzieciom swym, a rodzinie przyniesie zaszczyt i chwałę.

Więc dobrze mieli rodzice Ondraszka, postanawiając do szkół go wysłać. Ale żeto było zdarzenie rzadkie, więc wieś cała i cała okolica szeroko o tem rozповідаła. Miano wójtowi za złe, że syna od roli odciąga. Wójt wszakże o tem nie myślał wcale; owszem chciał, jako człowiek rozsądny, dać synowi wykształcenie na to, aby gospodarstwo swoje mógł podnieść, rolę lepiej wyzyskać i lepsze zbierać plony. Przytem i ta myśl tkwiła w Szebeście, aby panom na Frydku, tj. hr. Prażmie, nosa trochę przytrzeć, aby mu pokazać, że dziecko jego poziomem ducha zrównać mu może. On sam bowiem, jako chłop prosty, dużo musiał od dworu znosić upokarzania przykrości. Przewisk, którymi pan Frydka

obsypywał wójta przy każdym posłuchaniu i przy każdej sposobności, na wołowójby nie spisał skórze. Ty taki, ty owaki, ty stary ośle, ty głupi chłopie, ty prosty Wałachu*) — były na porządku dziennym. Przewiska takie obrażały wójta, a że sam jako prostak musiał je cicho znosić, chciał by przynajmniej syna od czegoś podobnego ochronić. Że ci panowie frydeccy bardzo sobie brzydko postępowali, poniżając prostaka i lekceważąc go, gdy on zarówno człowiekiem jest i naszym bratem — każdy otwarcie przyzna; ale najlepszym środkiem na ukrócenie podobnego pańskiego wybryku jest tarcza nauki, która od pocisków podobnych jedynie pewnie ochronić go może.

W Przyborze onego czasu były łacińskie szkoły, czyli tzw. gimnazjum. Tam Szebesta oddał swego Ondraszka. Chłopak istotnie z natury bystry i pojętny, każdą wiadomość chwytający w lot, obdarzony pamięcią znakomitą — uczył się w szkołach wyśmienicie i zawsze był pierwszym wśród swych kolegów. A do tego, aż dziwno, zachowywał się wzorowo, przykładnie, a będąc zręcznym, pomagał w wielu rzeczach innym, za co go koledzy lubili. Profesorowie także obdarzali go swą łaską, raz jako wyborowego ucznia, powtórę jako młodzieńca z całym należnym respektem umiającego się w obec nich zachowywać.

Szebestowie aż płakali z radości, dowiadując się o tém. »A co — mówił wójt — czy nie twierdziłem zawsze, że z latami przyjdzie mu rozsądek i chęć do pracy; już to nie syn djabelski, który

*) Wałachami nazywają się podgórcy mieszkańcy w księstwie Cieszyńskim i na Morawie.

tak zachowywać się umie, ale syn i dziecko boskie!»

»A i ja tak samo mówiłam — dodawała wójcina — tak samiuteńko. To anioł, nie człowiek, to pociecha i złotko nasze. Będzie on kiedyś naszą chlubą, naszym wsparciem i podporą w starości. Bożeż dzięki ci serdeczne za to, tysiączne dzięki!»

W ten sposób codziennie powtarzali rozradowani w duszy Szebestowie i marzyli słodko o świetnej, chwały pełnej przyszłości jedynaka. Widzieli już przez pryzmat swój pocziwój duszy, jak syn ich cześć od wszystkich odbiera, jak z uszanowaniem zbliżają się do niego, jak radzą się go, jako mądrego człowieka, jak sam pan na Frydku, sam hr. Prażma rękę mu podaje i ściska i na zamku swego zaprasza komnaty. I siebie widzieli przytem szczęśliwych, choć częsteczką tego szacunku obdarzanych, widzieli się szczęśliwymi przez szczęście jedynaka syna.

Marzenia te wszakże i rojenia były zawczesne; biedni rodzice zbyt różowo przedstawiali sobie przyszłość, miała ona być czarna i bolesna, miała im przynieść wstyd i hańbę, łzami miała oblać ich oblicza, a nie w uśmiech ustroić.

Oto, jaka nagła zmiana zaszła w życiu Ondraszka. Był już w szóstej klasie i uczył się tak dobrze jak przedtem. Gdyby nie okoliczność, o której powiemy, byłby pewnie i ten rok z chlubą ukończył. Mianowicie, nieszczęście chciało, że do szóstej klasy zapisał się jakiś bogaty żydek, fa-woryt profesora i co główna, że go posadzono obok Ondraszka. Ondraszek zaś, jak już wiemy, żydów nienawidził i jakiś szczególny czuł do nich wstręt. Toteż, gdy żydek usiadł obok Ondraszka,

ten doprowadzony do najwyższej pasyi, prosił profesora, aby żyda gdzieindziej posadził i także nie przed nim, »gdyż widok jego doprowadza mię — mówił. — do wściekłości.« Ale profesor zgromił za to Ondraszka i żydowi siedzieć dalej na tem samem miejscu polecił. Była to pierwsza kara, którą Ondraszek otrzymał w szkole i to jeszcze z powodu żyda. Zgromienie to tak go zabolało, że on, dorosły już chłopak, począł tak rzewnie płakać, iż trudno go było utulić. Karę swą uważał za niesprawiedliwą. Od téj chwili żyd już nie miał spokoju, dzień za dniem Ondraszek coraz lepsze urządzał psoty. Kładł mu słoninę i kielbasy do kieszeni, wbijał szpilki do ławki, na których się kłuł nie podejrzujący niczego żydziak, oblewał mu niepostrzeżenie ubranie atramentem, rozcinał kieszenie u spodni i cały szew tak nieraz zręcznie, że żydziakowi gołe wyglądało ciało, przy rysunkach popychał go tak, iż zamiast linii prostych, mimowolnie kreślił jakieś dziwolągi, wywijasy i kreski jak bat grube i jak bat przez cały zeszyt długie. Żydziak skarżył się nieustannie — Ondraszek coraz większe odbierał kary. Najpierw powtórzyły się surowe bury, po burach poszło uderzenie przez plecy, potem uderzeń kilka, wreszcie otrzepano mu porządnie skórę na ławie, a gdy i to niepomagało, zamykano go często przez cały dzień w szkolnym areszcie. Ondraszek jednak zamiast poprawiać się, coraz stawał się gorszym. Tak często odbierane kary starły z niego wszelki wstyd i honor, stał się właśnie przez nie ostatnim wisusem.

Ciekawe to psychologiczne zjawisko, na które tak rodzice, jak wychowawcy, szczególną zwracać powinni uwagę — że dziecko, które chcemy po-

prawie częstymi karami, jeszcze gorszem się staje. Udzielane mu plagi i do tego w obec współkolegów, ten tylko sprawiają skutek, że karany traci wszelką do nauki ochotę, krnąbrnieje, traci wstyd i ambycją, a z nią całą siłę moralną człowieka. To samo było z Ondraszkiem. Zaniedbywał się coraz bardziej, w końcu nic się już nie uczył, nikogo nie słuchał i puścił całkiem leżce swawoli. To doprowadziło go do ostatniej, najwyższej kary — do wypędzenia ze szkoły.

Raz wyszedłszy z aresztu szkolnego, przedsięwziął straszną zemstę, której też dopełnił w części na żydzie. Wieczorem zaczął się w krzakach w miejscu, koło którego żydziak przechodził zawsze do domu, a gdzie zawsze były pustki i kiedy ofiara istotnie się pojawiła, rzucił się na nią z całą wściekłością. Postanowił żyda zabić. Powalił go więc w krzaki i dalej okładać kijem, gdzie trafił, dalej kopać nogami, dalej wsuwać mu kulak za kulakiem, aż biedne żydzisko ledwie dychało, krzyczeć nawet już nie mogąc. Kto wie, czy nie byłby go i zabił, ale na szczęście ktoś nadchodził, więc Ondraszek nie chcąc być poznany, uciekł. Żyd podniósł się z ziemi zmasakrowany, z sińcami, ze zdartą w niektórych miejscach na twarzy skórą, zczerniały prawie od bolu i prochu, z ubraniem podartem, pobłoconem i popludem. Ledwie przyszedł do domu, położył się zaraz do łóżka, bo czuł się zupełnie bezsilnym i dostał gorączki. Istotnie choroba się wzmogła i to do tego stopnia, że ledwie żydziaka wyratowano. Musiał przeleżeć w łóżku kilka miesięcy. Ondraszka ze szkoły wypędzono i ze szkół wszystkich w państwie raz na zawsze wykluczono.

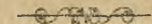
Karyera więc Ondraszka skończona, nadzieje biednych rodziców obrócone w niwecz; Ondraszek nie może już zrównać się z panem frydeckim, nie może świecić innym nauką i rozumem.

Powrócił on więc do domu, opowiedział wszystko co do joty stroskanym rodzicom i oświadczył, że do szkół już chodzić nie może, zatem zostanie przy rodzicach. Ma się rozumieć, że ci przystali na to, bo gdzież się ma tulać jedyne ich dziecko. Wprawdzie wzięli mu za złe takie pastwienie się nad żydem, ale co raz się stało, odstąpić się nie może. Popłakali więc z cicha oboje, matka, że syn nie będzie już księdzem, ojciec, że panom frydeckim umysłem nie wyrówna; popłakali raz i drugi i płakać przestali. »Przynajmniej niech ojcowizny pilnuje — mówił stary Szebesta do żony — oleju zawsze coś ma w głowie, bo to już i do szóstej klasy chodził i dobrze się uczył, tyle mu jako siedlakowi wystarczy, reszty sam się może przyuczyć!«

Lecz i ta nadzieja zawiodła biednego ojca. Synalek dragal, zamiast pracować koło rodzinnego pola, całymi dniami przesiadywał w lasach, wybierał z gniazd pisklęta i jaja, wyszukiwał w dziupłach drzew mieszkania wiewiórki, strzelał z fuzji do ptactwa i zwierza, skakał po drzewach i wspinał się na nie z nieporównaną zręcznością, aż się wszyscy dziwili. Ale co po tem, gdy tylko to było całą chlubą Ondraszka. Każdy pochwalał zręczność, ale psót takich, jak niszczenia gniazd, bezpotrzebnego zabijania ptactwa i innych zwierząt, wogóle tego próżniaczego trybu życia pochwalić nie mógł. Ojciec także kilkakrotnie robił mu wyrzuty i dawał napomnienia, nic to jednak nie pomogło; synalek robił dalej swoje, tulał się

i rozbijał po lasach i górach. Życie takie miało dlań nadzwyczajny urok i tęsknił za chwilą, w którejby nie krępowany żadnymi względami, mógł swobodnie puścić wodze fantazyi.

Wójt teraz dopiero począł pojmować, jakiego ma syna, że to plód czarta, skazany bezwzględnie na upadek i potępienie. Zdeterminować się wszelako na taki los nie mógł, więc mimo cierpkiej rzeczywistości, czasami odważył się zamarzyć o poprawie syna i nawróceniu się jego na drogę prawości.



Rozdział III.

Ondraszek na zamku frydeckim i śmierć jego matki.

Raz Ondraszek, tułając się ze strzelbą po lesie, spostrzegł powóz pański, ugrzęzły w bagnisku. Daremnie pan i sługa silili się, ażeby go z bagna wydobyć. Ondraszek przyskoczył na pomoc, a mając olbrzymią siłę, jednym szarpnięciem powóz z bagna wyciągnął. Siła ta zaimponowała panu tak bardzo, że wyjawiał pragnienie zabrania Ondraszka do siebie na zamek. Byłto bowiem hrabia Prążma, pan na Frydku.

Ondraszek zgodził się chętnie na to, wiedząc dobrze, jak wesołe życie prowadzą na zamku dworzanie hrabiego; wpierw jednak życzył porozumieć się z ojcem, na co hrabia najzupełniej przystał.

Oznajmił więc Ondraszek rodzicom tę nowinę, którą oboje przyjęli radośnie, spodziewając się, że syn na zamku takiego pana nauczy się żyć porządnie i godnie, że natura jego dzika złagodnieje i że przecież jeszcze może być co z niego. Byli przekonani, że taki zgrabny i ładny chłopak, z pewnym zasobem nauki, musi być polubionym od hrabiego. Z rozweselonem obliczem pobłogosławili mu więc na drogę i ofiarowali go opiece Boga.

Ubrany w piękne i dość kosztowne suknie, zaopatrzony we wszystkie potrzebne przybory i w sakiewkę nabitą złociutkimi talarami, z szumną miną wybrał się Ondraszek do zamku.

Zamek górował nad miastem wspaniałymi wieżycami i basztami. Opasany murem był zarazem warownią. U stóp jego z szumem i junaczo płynęła piękna Ostrawica. Ze zamku prześliczny widok na okolicę, na sąsiednie góry, a zwłaszcza na dumnie strzelającą w niebo Łysą górę.

Jak widzimy pięknie miał teraz mieszkać Ondraszek, to też zbliżając się do wspaniałego zamku, aż serce mu biło silniej i krew żywiej grała.

Na dworze frydeckim wiodło mu się bardzo dobrze, bo i pan i pani bardzo go polubili. Stał się ich pierwszym wyręczycielem i towarzyszem. Bez niego pan nie wyjechał nigdzie, bez niego pani obejść się nie mogła. Zresztą miło im było mieć takiego pokojowca, co to i urodą i zgrabnością i światłym umysłem wszystkich swych towarzyszków przewyższał.

Był smukłej postaci, o rzeźbionych kształtach, z wielką zgrabnością w ruchach, elastyczny prawie, a przytém z głową dumnie wzniesioną w górę,

z oczami bystrymi, z połyskiem zdradzającym umysł gorący i piękny. Przytém jak na dworaka zupełnie wykształcony, a nawet więcej niż na to potrzeba, miłym był dla hrabstwa, którzy mogli z nim o różnych rzeczach z prawdziwą przyjemnością rozmawiać. Szczególną wszakże łaską obdarzała go sama pani hrabina. Miał już od niej wiele kosztownych podarunków i pierścienie i łańcuchy złote i szaty aksamitne i jedwabne, gdyż tak chodzili przybrani po świątecznemu dworzanie hrabiego.

Ale nie na tém koniec. Względy hrabiny dla Ondraszka zamieniły się szybko w affekt serdeczny, a wreszcie w gorącą miłość. Poznał to Ondraszek, lecz wcale nie chciało mu się być biblijnym cnotliwym Józefem; owszem jak tylko mógł, najwięcej z téj miłości korzystał. Wszystko to jednak, rzecz zrozumiała, było starannie ukryte przed okiem dworu i pana. Wzajemne wynurzenia się miłosne miały miejsce tylko w gotowalni pani, gdzie niby Ondraszek koniecznie jęj był potrzebny.

Ale nic ukryć się nie da przed obliczem Boga i ludzi. Wszystko skryte, czy to cnota, czy grzech, czy zbrodnia, na jaw wyjść musi. Tak samo miała się rzecz z Ondraszkiem i z hrabiną. Najpierw było to tylko niepewne podejrzewanie domyslnéj służby; potem przeszło w przekonanie zupełne. Ktoś na ucho rzucił panu mimochodem tę wiadomość, a pan znów wszystkich sił i sprytu swego użył na to, aby kochanków tak niedo-branych złapać na gorącym uczynku. Ma się rozumieć, że trzeba było działać ostrożnie i skrycie, aby sprawy nie uczynić głośną, przez coby siebie

i żonę skompromitował. Chodziło mu tylko o ukaranie Ondraszka.

Raz hrabia wybrał się naumyślnie sam na polowanie; Ondraszka zostawił przy hrabinie; powrót swój zapowiedział na dzień następny.

Skorzystawszy z tego oddalenia się hrabiego, hrabina porozumiała się z Ondraszkim i wieczorną porą zeszli się w zamkowym parku w altanie. Ale hrabia powrót swój przyspieszył i cicho wszedł do zamku. Kroki swe skierował prosto do pokoi hrabiny, ale jęj tam nie zastał. Cicho więc znowu, niedopytując się nikogo, wszedł do parku, spodziewając się zastać tam swą żonę i to pewno w objęciach chłopca Ondraszka. Jak przeczuwał, tak było. W altanie hrabina całowała się z Ondraszkim. Krew zawrzała w żyłach hrabiego, chciał w téjże chwili zastrzelić śmiałka, ale rozum kazał powstrzymać cugle temperamentowi. Prażma inaczej postanowił ukarać rozwiozłego dworaka.

Nazajutrz hrabia był jak najspokojniejszy, udawał jakby nic nie widział i nie wiedział o niczem; kazał zawołać do siebie Ondraszka, a gdy ten przyszedł, choć hrabia wstętu teraz czuł do niego, przywitał go uśmiechem, zapytał tonem jak najłagodniejszym o przebieg dnia ubiegłego i kazał mu się zbierać na polowanie, gdyż dzisiaj chce zapolować sobie we dwójkę. Wszystko to było wypowiedziane tak grzecznie i łagodnie, że Ondraszek podstępny domysleć się nie mógł.

Za chwilę po zwodzonym moście zatętniła bryka i w nięj jechał pan hrabia ze strzelbą przewieszoną przez ramię; na koźle zaś obok hajduka w strzeleckim stroju ubrany Ondraszek. Bryka skierowała się ku lasom Raszkowskim. Gdy już

byli przed lasem, bryka stanęła a myśliwi zesko-
czyli z siedzeń.

Zniknęli w gąszczach leśnych. Hrabia jak
nigdy nic, opowiadał Ondraszkowi swoje myśliwskie
przygody, aż tu z gąszczów wypada nagle zgraja
barczystych chłopów, w których Ondraszek poznał
służbę dworską stajenną i ta rzuca się na niego.
W mgnieniu oka Ondraszek stał już obnażony.
Chłopi zakneblowawszy mu usta, przywiązali go
do drzewa i rozpoczęła się straszna chłosta kijami,
pod którymi krew tryskała i ciało odpadało ka-
wałkami. Gdy jedna strona ciała była już zesiekana,
odwiązano go od drzewa, odwrócono, znów jeszcze
silniej do pnia sznurami ściągnięto i chłosta po-
wtórzyła się jeszcze zacieklejsza. Od głowy do stóp
lała się krew i rana była przy ranie. Ondraszek
z kneblem w ustach omal się nie udusił, z oczów
tylko i z kurczów ciała poznać było można, jak
straszne przechodził męki, ale zarazem jaka miotła
nim wściekłość.

Gdy już był tak zesieczony, że wolnego
zdrowego na całym ciele nie było miejsca, hrabia
dotychczas spokojnie przypatrujący się z boku, kazał
chłosty zaprzestać i z szatańskim prawdziwie
uśmiechem na twarzy, rzekł, wyrazy z sykiem
cedząc przez zęby: »Oto masz prosty chłopie za-
płatę za to, żeś się poważył hrabinę ucałować;
może ci moje pocałunki już wystarczą? Tu chamie
pod drzewem stać będziesz związany, aż cię zwier-
dziki rozszarpie lub zginiesz z wycieńczenia!« To
mówiąc hrabia podszedł do bryki i powrócił do
zamku; chłopci napastwiwszy się jeszcze trochę-
nad bezwładnym Ondraszkiem, odeszli także.

Ondraszek sam został jak męczennik, przy-
wiązany do drzewa, z ustami zakneblowanymi, nie

mogąc wołać, ani komarów leśnych, ssących jego zakrwawione rany, odpędzić. Czuł, że słabnie, że zginie tutaj marnie w tak młodym wieku, bez zemsty... A on tak pragnął się zemścić....!

Słońce zachodziło krwawo poza lasem, miedzianymi promieniami malując cudownie gałęzie drzew, mchy i trawy leśne i oblewając swem światłem krwawem, krwią zmalowaną postać Ondraszka. Coraz ciszej robiło się w naturze; z ostatnim promykiem światła zniknął brzęczący rój komarów, ucichły w gąszczach ptaki, motyl leśny gdzieś ukrył się w kielichu kwiatka... było cicho, majestatycznie, ponuro. Czasami wiewiórka z gałęzi na gałąź pomknęła, spóźniona leśna pszczołka jęknęła, zresztą cisza.. A Ondraszek już pół umarły, z oczami wylupionymi, z wydętymi od krwi nabiegłej arteryami szyi i pulsów, przedstawiał widok straszny, wstrętny, a u najtwardszego nawet człowieka budzący litość bezwzględna...

Ondraszek już gotował się na śmierć i w myśli odmawiał żarliwie dawno zapomniane modlitwy, powtarzał je z całą skrucą i pokorą, w której już ani cienia nie było myśli o zemście. Nagle coś silniej zaszeleszczało w krzakach... Ondrasz z trudnością zwrócił w tę stronę głowę, ale mgła zasłaniała mu już oczy, nie widział... Słyszał wszakże, jak coś się zbliża, jak gałęzie trzeszcza pod czyjemiś nogami i zdawało mu się, że rozróżnia już wśród ciemności jakiś cień wyraźniejszy, ludzki... Cień ten posuwał się ciągle naprzód, aż stanął tuż przed samym Ondraszem i wtenczas dopiero konający prawie męczennik, rozeznał w nim postać zgarbioną, starą kobietę. Było coś odpychającego w tej babie. Skóra na twarzy i rękach

jak szafran żółta, do kości przyschnięta i pomarszczona, włosy siwe, rozpiezchłe w nieładzie, kosmykami wyglądające z pod jakiejs starėj, czerwonej chustki, która już raczej do przepaski była podobną, oczy świecące dziko, czarne jak węgiel, nos cieńki, kościsty, jak u dzikiego drapieżnego ptaka w dół zagięty, wargi obwisłe, jak dwa niebieskawe flaki, zęby ogromne, żółte, broda włosami zjeżona, na policzkach brodawki czarne z kiściami siwych włosów; szyja, jak skrecona bielizna, ściągnięta, żylasta i chuda. Miała na sobie kaftan żółty, łatany i brudny, na piersiach rozpięty, z pod którego przeglądała pierś koścista, żółta i włosista; spódnica sięgająca ledwie do kostek, pełna łat i dziur, u dołu jak w frędzle postrzępiona. Wyglądały z pod niej cieniutkie żółte gołe nogi, szmatami zamiast butów obwinięte. Na plecach miała w płachcie wiązanke chrustu i jakiegoś suchego ziela. Na wiązance téj siedział najspokojniej wielki kot czarny z zielonymi, wylupionymi ślepiami, z ogonem podniesionym w górę, z siercią na grzbiecie zjeżoną. Starucha podpierała się na grubym sękatym kiju, w około którego obwijał się zeschły wąż czarny...

• Stanąwszy przed Ondraszem, wiedźma, bo nie czem innem była, wlepiła w niego swe dzikie oczy i patrzała tak jakąś chwilę, jakby wybadać chciała stan jego duszy. Nareszcie podniosła żółtą rękę do ust związanego i wyjęła mu knebel.

— A teraz mów — rzekła — czy chcesz żyć i zemścić się na okrutnym Praźmie. Czy chcesz być szczęśliwym i zdrowym, opływać w dostatki, mieć wszystko, czego tylko zapragniesz? Czy chcesz?

Ondraszek spojrział na wiedźmę przygasłym okiem i rzekł cicho:

— Chcę!

— Czy chcesz mieć siłę żubra, oko orła, zręczność wiewiórki, chytrą lisa, a piękność jutrenki — czy chcesz? A chcesz ty mieć taką siłę, żebyś mógł dziesiątki mil dziennie robić, jednym spojrzeniem oka pokonać całą zgraję nieprzyjaciół, taką siłę woli, że jak zechcesz, żeby tak było a tak, aby się wypełniło odrazu?

— Chcę! — silniejszym głosem odrzekł rozogniony tymi nadziejami Ondraszek. — Chcę, bodaj za cenę méj duszy. Chcę żyć, chcę się mścić! — syknął wężowym głosem, zapomniawszy w jednej chwili o Bogu, któremu przed chwilą dopiero w gorących modlitwach oddawał swą duszę i błagał zmiłowania.

— Dobrze, — mówiła dalej wiedźma — duszę swą musisz uczynić twardą i w obec kościoła i wszystkiego, co zowie się religią, wiarą — odporną. Nie wolno ci odtąd wspomnieć nawet o Bogu, imienia jego wymówić, obowiązków, które on nałożył, spełniać. Bo gdy raz coś podobnego czynem lub myślą uczynisz, zginiesz!

— Dobrze! — zawołał Ondraszek — ściśle zastosuję się do tego, tylko jak najprędzej uwolnij mnie z tych strasznych więzów.

— Wpierw mi przysięgnij — rzekła wiedźma — że zdania swego nie zmienisz. Przysięgnij na potęgę piekielne, na niszczące żywioły ziemskie i powietrzne, na ogień wiecznie trawiący, na skały te i góry przysięgnij, na słowo zemsty i na głowy twych rodziców!

— Przysięgam! — odrzekł ponurym głosem zdeterminowany na wszystko Ondraszek.

Wówczas wiedźma poczęła odwiązywać sznury, które wpiły się jak pijawki w poranione ciało Ondraszka i w minutę Ondraszek uczuł się wolnym. Już teraz był szczęśliwym, bo czyż nie szczęście to także, móc członki swoje swobodnie wyciągnąć, nie czuć na sobie więzów ruch tamujących?! Toteż w żyłach Ondraszka z chwilą odzyskania téj świętej dla niego wolności, krew żywiej zagrała, oczy zabłysły promieniem błogości.

Wiedźma wyjęła z zawiniątka jakieś trzy maści: zieloną, czarną i czerwoną; z każdej wzięła częśćkę, razem zmieszała palcem na dłoni, roztarła dobrze na ręce i obróciwszy się ku północy, poczęła przez chwilę marmotać coś i dłonie jak na przywitanie naprzód wyciągać. Potém zwróciła się do Ondraszka i rany nacierać zaczęła. Już pod rękami jęj czuł Ondraszek natychmiastowe gojenie się ran i cudowną ulgę. A gdy w ten sposób całe ciało natarła, Ondraszek był znów gładki jak dawniej, bez znaku obrażeń i siłę zyskał tę samą.

Wiedźma zgarnęła nazad ze ziemi swoje matki, związała razem w jedno zawiniątko i przerzuciła przez plecy.

— Jeżelibyś mię kiedy potrzebował — rzekła, zabierając się do odejścia, — zawołaj tylko: Luco, gdzie jesteś? a zaraz przybędę!

To mówiąc, w mgnieniu oka znikła, jak widziadło.

Ondraszek stał jakiś czas nieruchomo w miejscu, nie mogąc sobie zdać sprawy z tego wszystkiego. Gdyby nie najlepszy dowód rzeczywistości, sznury skrwawione i połamane kije, leżące tuż przed nim, byłby uwierzył, że śni. Dziwnie był rozdrażnionym. Z jednej strony czuł się szczę-

śliwym wprawdzie, że odzyskał wolność, życie i zdrowie, że ma zapewnioną nadprzyrodzoną pomoc; z drugiej wszakże smucił się trochę myślą, że w tak niegodny sposób szczęście sobie okupił. Wnet jednak zupełnie się uspokoił i wyciągnawszy się jak struna, w górę aż pod wierzch świerka podskoczył i jak sarna rącho z lasu wypadł.

Z dala rysowały się na wieczornem niebie kontury frydeckiego zamku. Ondraszkowi wydawał on się teraz wstrętnem gniazdem jaszczurek. Odwrócił się do niego i zaciśniętą pogroziwszy mu pięścią, huknął całym głosem, jakby do żyjącego człowieka, którego się ściga ostatnim słowem przekleństwa :

»Zemsta wam wy zimne, dumne mury i wy dumne, zimne serca. Zemsta wam! W pył to wasze gniazdo rozsypię, nogami moimi zdeptam i plwać na nie będę. Kłątwa moja dosięgnie dziesiątego waszego pokolenia, o pyszałki i tyrany! Na słowo moje na głowy wasze rzucone, krew się wam zetnie w żyłach i włosy wam z lęku zsiwieją. Ha! poznacie mię! Ustami mojemu, jak dziki zwierz z piersi waszej krew chlipać będę i pazurami wydrę wam serce. Ha, ha, co to za rozkosz będzie widzieć to dumne pańskie serce, tu na dłoni prostego chama, chłopca, którego można obić jak psa bezkarnie, można zabić jak padalca. Przekleństwo wam rzucam i .. do widzenia! Ale na przyjęcie moje te dumne baszty będą świecić jak pochodnie, a krew się będzie lała w kubki, zamiast wina. Tu, do was przyjdę się okapać i z kąpieli téj czerwony wyjdę jak upiór, by postrachem być wam podobnym, którym

dzieci jak zjawiskiem sennem budzić będę w cichą noc po kołyskach! Do widzenia!»

I w różnych podskokach pobiegł dalej... ku wiosce rodzinnej, gdzie dwie siwiejące głowy snuły złotą nić błogich marzeń w cichości, gdzie dwa uderzały serca, i jak gołąbki, do jednej tylko rwały się istoty... do syna.

Ondraszek zastanawiał się w drodze, czy opowiedzieć rodzicom całą nagą prawdę o czarownicy, czy też tajemnicę tę zachować u siebie. Głos wewnątrz złą podyktowany myślą, kazał mu milczeć..., więc milczał.

I oto już stoi przed nim ten biały domek z przyzbą przy ścianie, z kwiatkami w oknach, a gniazdkiem jaskółczem pod dachem. Na wysokięj w ogrodzie lipie, zdala rysuje się stare koło, a na niém gniazdo pocziwego Wojtka,*) który właśnie podniósłszy jedną nogę, stoi cichutko, wyciągnawszy szyję, jakby rozmyślał nad czemś głęboko... może nad losem i przyszłością Ondraszka. A w sadzie furczy chorągiewka na daszku gołębnika. Białe ptactwo kołem, jak stróże, oblatuje po tysiąc razy domostwo i spuszcza się jak biała chmura na dachy, mchami i trawą porośłe. A w oknie, cóż to za twarz, w taki uśmiech strojna, w takie oczy jak tarki z radości błyszczące i w takie krople dyamentowe łez, które radość wyciska? A ta druga głowa z wyrazem takiej sympatycznej powagi i słodczy na twarzy, czyjaż to, czyja?!

To Szebestowie!

Czyż nie zadrga synowskie serce Ondraszka, nie zapłonią się lica, nie załzawią się oczy —

*) Ludowe przezwisko, dawane bocianowi; wojtek, ksiądz Wojciech etc.

gdy twarze te, tak dobrze mu znane, a które również drogie być mu powinny, zobaczy, gdy się te pocziwe dłonie rodzicielskie do niego wyciągną i w uścisk go serdeczny obejmą?

Patrzcie, on stoi zimny i wita się obojętnie i w roztargnieniu, nie widząc nawet i nie czując tych świętych łez, które z czterech ocz padają mu na głowę jak rosa błogosławieństwa. Rzucił w kął szerokobrzeżny kapelusz, z impetem usiadł na stolku i zaczął:

— A co, jakże się wam podobam, he? Pięknym, nie prawda, ha, ha, ha — takim pięknym, jakby na tem cieie nigdy nie spoczywała różga, nigdy nie siekła go chłosta. Ha, ha, ha! Muszę być piękny, bo Prażmanka ma przecie gust, a toć podobno to tylko się lubi, co piękne. No cóż, nie spytacie się mnie nawet, z jaką wracam godnością, z jakim w rękach urzędem, z jakim majątkiem, któremu się dorobił u wielkiego pana z zamku frydeckiego? Nic nie pytacie? Otóż wam powiem, że u murów tego zamku jak widmo zgrozy pląta się słowo méj klątwy, że syn chłopski, cham wejść tam może tylko, jak dzwony uderzą na alarm, jak mury te walić się będą, a krew z dumnych serc tych panów napełniać będzie nasze biesiadnicze kubki. Tak, tylko wtenczas może tam wejść syn chłopski, syn chamski — i wejdzie...»

»Ale teraz dajcie mi się czém pokrzepić, bom głodny« — urwał nagle swój wybuch, jadem napiętnowanój oracyi.

Szebestowie stali jak piorunem rażeni, coś w słowach tych widząc już straszego, choć jeszcze nic nie rozumieli.

Pragnąc więc lepiej dziwną mowę syna zrozumieć, poczęli go wypytywać i prosić, by im wszystko jak na św. spowiedzi wyjawiał. Ale Ondraszek zbywał ich ogólnikami, tłómacząc powrót swój brakiem ochoty do dworskiej służby. Rodzice wszakże poznali dobrze, że to tylko wykręty, jednak dokładnej wiadomości z nikąd powziąć nie mogli. O wypadku tym bowiem wiedział tylko hrabia i sześciu chłopów, którym pod karą kazano milczeć jak głązy. Prażma wytłómaczył żonie nieobecność Ondraszka prostą ucieczką, której powodu odgadnąć nie może. Dwór zaś cały święcie był przekonany, że Ondraszek dobrowolnie służbę na żądanie ojca porzucił. Zresztą ludzie z zamku rzadko kiedy zjawiali się w Janowicach, a jeśli kto się pojawił, to zawsze w charakterze urzędnika, do którego przystęp trudniejszy był, niż do samego pana.

Musieli więc Szębestowie zadowolić się tłómaczeniem Ondraszka, mając wszakże nadzieję, że oliwa wcześniej czy później na wierch wyjsć musi. Postanowiono również, aby Ondraszka nigdzie już do obcych ludzi nie dawać, by już trzymał się stale własnego domu i własnego gospodarstwa.

Ale i to nie bardzo przypadło Ondraszkowi do gustu. Wolał on uganiać jak dawniej po górach i lasach i potykać się z dzikiem zwierzem, gdyż życie takie awanturnicze nadzwyczaj mu się podobało.

— Et, co mnie tam po gospodarstwie — odpowiadał ojcu, gdy go nakłaniał do pracy — ja się na tem zupełnie nie znam i wcale mię to nie bawi. Starajcie się wy o rolę, wszak to wasza, nie moja. Ja będę miał dość czasu, jak wy umrzecie.

Teraz dajcie mi święty spokój i pozwólcie mi tak żyć, jak mi się podoba.

Na takie dictum, ojciec uczuł się zmuszonym ostrzej, energiczniej wystąpić.

— Musisz pracować — rzekł rozgniewany — musisz. Ja roli mojej, krwawo nabytej, nie dam w poniewierkę. Jeśli gospodarki nie znasz, nauczysz się; czas na to właśnie teraz, a nie później. Jak się teraz nie nauczysz, gdy ci lat przybędzie, tem bardziej ci się robić nie będzie chciało. Teraz musisz się do pracy zaprawiać. Dość nazbijałeś już bąków, dzieciuchem nie jesteś, wstydu nam nie przynosisz. Syn wójtowski powinien przykładem być dla drugich, jak żyć i pracować należy. Czy chcesz, żeby ludzie palcem na ciebie wskazywali, jako na wstrętnego wszystkim włóczęgę, próżniaka, obiboka? Chcesz?

— Niech sobie ludzie, co chcą mówią — odparł arogancko Ondraszek — nie za głosem ludzi, ale za moim pójde!

— Nie pozwalam na to. Jam ojciec, mam prawo niepozwolić. Natychmiast wziąć mi się do pracy, inaczej łoży lub wydziedzicze!

Ondraszek odpowiedział na to prawdziwie szatańskim śmiechem, obrócił się na pięcie i w lasy uciekł.

Tak było codziennie. Biedni rodzice tonęli we łzach i łamali ręce. Co będzie z ich syna, co będzie? A głos im odpowiadał jakiś: rozbójnik, złoczyńca!

Wyobraźcie sobie, co to za boleść była dla serc rodzicielskich! Przedwcześnie zestarzelisi, posiwieli i wyschli, a pod oczami ciągle płynąca łza aż rowki wyłobiła.

Tymczasem i inną wadę odkryto w Ondraszku. Spostrzeżono z przerażeniem, że syn zapomniał o Bogu, że kładzie się na spoczynek bez modlitwy, że od kościoła stroni i ani znaku krzyża św. nigdy nie robi. Gdy mu wymawiała to pocziwa, bogobojna matka, ofuknęła ją grubiańsko: »Dajcie mi raz święty spokój z moralami, ja wiem, co robię. Co mi tam Bóg!«

To do tego stopnia zmartwiło Szebestową, że od téj chwili nie miała jednej minuty spokojnej i najwidoczniej z dniem każdym upadała na siłach. Wreszcie tak zesłabła, że zmuszona była położyć się do łóżka, z którego nie podniosła się więcej. Czując zbliżającą się śmierć, zawołała do siebie Ondraszka i rzekła słabym już głosem:

— Ondraszku, dziecię moje, przysięgnij tutaj umierającej matce, że poprawisz się, że do pracy twardej się weźmiesz, że Boga za grzechy swe przebłagasz, że nie będziesz o nim zapominał, bo on nasz Ojciec najlepszy. Synu, dla matki to zrób konającą. Milczysz? Powiedz choć jedno słowo: Zrobię!

Ale Ondraszek uparcie milczał i stał przy łożu matki w postawie dumnej, z głową w górę zadartą.

— No, Ondraszku, czyż tak ci trudno o rzecz pocziwą, czyż tak się brzydzisz pracy i Boga? O miéj litość nademną, abym chociaż w spokoju oczy swe zawrzeć mogła, żebym na tamtym świecie była spokojną i zupełnie szczęśliwą. Bo wiedz o tem, że duch matki i duch ojca, jak anioły stróże, pilnują swego dziecka i strzegą go. Czy chcesz więc, żebym miasto błogosławieństwa, przekleństwo ztamtąd na głowę twoję rzuciła?

— Jak wam się podoba! — odparł cynicznie

Ondraszek i zniecierpliwiony, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, z hukiem, wyszedł z domu.

Z łoskotem zamykających się drzwi za synem, zmieszał się rozdzierający serce krzyk matki, której tak ciężko zraniona dusza, z boleścią i skargą wymknęła się z ciała i odleciała w świat inny, szukać pociechy i spokoju u tronu najlitościwszego Boga.

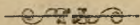
Szebesta odchodził omal od zmysłów; śmierć żony wbiła mu nowy cierń w biedne serce. Zdawało mu się, że i on przy trupie jej trupem padnie. Na kolanach przy zmarłej klęcząc, oblewał skostniałe jej ręce gorącymi łzami i błagał z głębi duszy, aby z tamtąd, z niebios wlewała weń potrzebną siłę i męstwo do pokonania wszystkich cierpień i do zwyciężenia złego syna. Twarz zmarłej napiętnowana straszną boleścią, zdawała się przy tych słowach męża wypogadzać i rozjaśniać, jak oblicze świętej i przyrzekać mu orędownictwo.

Ondraszek, na wieść o zgonie matki, ani nie drgnął, przyjął ją całkiem obojętnie i chłodno. Nawet nie spojrział na trupa i przez całe trzy dni nie pokazał się w domu. Może przecież odezwało się w nim serce, może lękał się być pokonanym, może...

Dzień pogrzebu nadszedł. Lud z najdalszych zbiegł się okolic, bo Szebestowie znani byli jako ludzie pracowici, cnotliwi, przykładni, pełni bojaźni Bożej i pobożności, dla biednych litośni, dla potrzebujących rady, usłudźni. Szebestowa, gdzie było ubóstwo i choroba, pierwsza biegła zawsze z ręką ofiarną i sercem współczującym, nieraz kilka dni i nocy przesiedziała przy chorym, ratując go z takim poświęceniem, i z taką ochotą, jakby własne dziecko. Nie dziw więc, że około jej trumny

zgrupowały się tłumy ze łzami obfitymi w oczach, z ściśniętym sercem i ubolewaniem. Wszystko płakało jęj, jak dobrej matki. Szebesta zdawał się w łzach rozpływać, jeden tylko Ondraszek stał jak kamień zimny i obojętny.

Gdy trumnę składano do grobu i grudki ziemi ponuro po niej poczęły bębnić, wszystko jęknęło jednym wielkim płaczem — ale syn stał spokojnie. Nawet mięsień nie zadrgał mu na twarzy. Na smutny ten obraz patrzył, jak na zwyczajną, jaką ludową uroczystość. Wreszcie ziemia już dół wypełniła i poczęła wzdymać się żółtym kopcem ku górze, jak pierś westchnieniem wzniesiona. Lud pochylił się i począł się modlić. Ondraszek nie zgiął kolana; stał prosto, dumnie, obojętnie. Wargi milczały — ani serce, ani usta nie odmawiały modlitwy. Ze wstrętem jak na gada spojrzano wtedy na niego, a z wielu ust wypadło przekleństwo.



Rozdział IV.

Ondraszek zostaje zbójcą i wodzem bandy.

Rok może upłynął od śmierci matki Ondraszka. Mogiła jęj bujną porośła zielenią, a Szebesta i inni poczcwi ludzie zasadzili na niej piękne kwiaty i śliczny krzyż dębowy z rozpiętym na nim Chrystusem, postavili u głowy. Mogiła ta była często nawiedzana przez włościan, a stary Szebesta codziennie wieczorne przy niej odmawiał pacierze. Ondraszek jednak ani razu nie odwiedził matczynego grobu.

Życie pędził jak dawniej, z tą tylko różnicą, że nie wystarczyły mu już lasy i góry, potrzebował koniecznie towarzystwa ludzi i to ludzi hulaszczych. Więc gdy wrócił z lasu, rzucał w kąty strzelbę i szedł do karczmy spijać się z drugimi mu podobnymi lub zakradał się do pięknych dziewcząt na nieskromne amory. Z pomiędzy tej wielkiej liczby nieopatrnych dziewczek, które powodować mu się dawały, jedna tylko najbardziej wpadła mu w oko. Nazywała się Hanka; piękną swą istotnie przechodziła wszystkie dziewczęta Janowic, a nawet okolicy. Ondraszek pokochał ją namiętnie i wszelkiej szukał sposobności, by się mógł z nią jak najczęściej widywać, co mu się też i udawało. Na wszelkich zabawach, gdzie tylko pokazała się Hanka, tam był i Ondraszek, a jako wójtowski syn, znajdował wszędzie gościnne przyjęcie. Wprawdzie miano mu za złe jego próżniactwo i obojętność dla religii, pamiętano mu dobrze jego zachowanie się przy grobie matki, ale już nie brano tej rzeczy tak gorąco, jak przedtem; czas złagodził wszystko; każdy przedmiot oddalony się zaciera, zatarł się więc i czyn Ondraszka i ucichły nań krzyki. Zaczęto go usprawiedliwiać, zwłaszcza matki mające córki na wydaniu, a które chętnie chciały go widzieć swym zięciem; obojętność jego dla wiary i rodziców przypisywano długiemu oddaleniu jego od domu, przebywaniu u obcych ludzi i na pańskim zamku, gdzie zawsze panuje etykietalny chłód i obojętność, gdzie wśród wygod materyalnego życia, osłabiają się szlachetniejsze porywy duszy i uczucia. Tak sobie tłómaczono powszechnie. Czy słusznie, niech czytelnicy osądzą!

— Jak on się z nami znów zżyje — mówili — poprawi się i będzie pocziwym, porządnym gospodarzem!«

Tak więc uprzedzenia dawne ginęły coraz bardziej. Ondraszek zyskiwał mir u ludzi. Jeden wszakże ojciec nie wierzył temu i stracił już wszelką nadzieję poprawy syna. On jeden, jako ojciec jego, mógł najlepiej znać stan jego duszy. Widział téż, że to dusza nieokiełzana, zapalna, każdej namiętności powolna, nie mogąca się zastósować do karbów zwykłego życia, szukająca zawsze czegoś nadzwyczajnego, znajdujaca największą rozkosz w niekrępowanej niczem, bezwarunkowej swobodzie. Wiedział on dobrze, że lada żadza robi z niego wulkan, który całym ogniem i lawą wybuchnie i wszystko naokół siebie zniszczy; że ta demoniczna siła zepchnie go lada chwila z prostej drogi i rzuci na kręte manowce. Dla tego, choć ludzie starali się go uspokoić, spokojnym nie był i z trwogą każdego nowego dnia oczekiwał. Ta ciągła niespokojność gorączkowa, trawiła jego organizm i pochylała go powoli nie ku mogile.

Nieszczęśliwy Szebesta żył teraz jak pustelnik osamotniony, zawsze sam, zawsze opuszczony. Syn nie poświęcił mu nawet godziny czasu, nie ogrzał tego bolejącego serca, nie pocieszył téj strapionéj duszy. W domu był tylko gościem — przychodził spać i jeść, po za domem zresztą wszędzie go było pełno.

* * *

W Janowicach był kiermasz. Ludzie zjechali się z okolic, jedni by coś sprzedać, inni kupić, inni by tylko przy dobrej sposobności się

zabawić. Totóż karczma pełniutka była bawiących się ochoczo. Wszystkie stoły obsiedli, jak mrówki; piwo, wino i wódka lały się strugami w kubki większe i mniejsze. Gwar był jak w ulu. A jeszcze schodzono się liczniej, że już ledwo stanąć gdzie było można. Ściągała ich tutaj muzyka, która w drugiej izbie większej przygrywała tańczącym. Zeszły się tam wszystkie wesołe i rade tańca dziewczki, zeszli wszyscy parobcy junacy, a nawet kilku było żołnierzy dragonów, których kompania stała w Janowicach. Był też, ma się rozumieć i Ondraszek, a nawet największy rej wodził w całym towarzystwie. Pary posuwały się za parami w dziarskich podskokach, dziewczkom krew do twarzy nabiegła, a oczy świeciły się z radości jak tarki, parobcy pohukiwali i tupali nogami, dodając sobie ognia i taktu, wszystko było w podnieconym stanie, który podnosiła jeszcze więcej spora ilość spełnianych kubków.

Ondraszek nie miał dziś szczęścia do Hanki. Wprawdzie tanecznic mu nie brakowało i każda spoglądała na niego ogniście, jakby prosząc się, by ją uniósł w szalony taniec, bo też istotnie nikt tak żwawo, jak Ondraszek, nie tańczył; ale Ondraszek mimo tego niezadowolony był i rozdrażniony, bo ulubioną jego Hankę ciągle mu z pod nosa zabierał jeden z dragonów, któremu z oczów patrzyło, że tak mu skoro do tańca, jak i do bitki. Ondraszkowi krew biła do głowy; lada chwila, a wybuchnie.

Gdy przetańczono już góralaka i dziewczki posiadały na ławie odpocząć, Ondraszek przypadł natychmiast do Hanki i wcale nie zniżając głosu, rzekł wzburzony: »Hanko, jak cię jeszcze raz zo-

baczę w rękach tamtego, i z nim i z tobą i ze mną źle będzie.»

Dragon, który pogroźkę tę dobrze słyszał, przypadł do Ondraszka nagle jak pantera i kiedy ten nawet się nie spostrzegł, całą siłą pięści uderzył go w głowę. Ondraskowi aż zaćmiło się w oczach i potoczył się kilka kroków naprzód; ale zaraz oprzytomniał, wściekłość ozwała się w nim, jakiej dawniej nie doznał, zebrał więc wszystkie siły, jak nie przyskoczy do dragona, jak go nie obejmie w pól i jak niby z procy o ścianę przeciwną nie rzuci, to dragon tylko zakrył się nogami i stęknął.

Powstał hałas i zamieszanie; zaczęto wołać: »Dragon zabity, dragon zabity!« Dziewki jak sarny, płacząc i krzycząc, hurmem cisnęły się do ucieczki, a parobcy zgłupieli, nie wiedząc co począć. Bano się Ondraszka, bo znana była jego siła i zręczność w całej okolicy.

Hanka się jedna została i targnąwszy Ondraszka za rękaw, zawołała z trwogą: »Ondrasku uciekaj, bo portasze idą!«*)

Ondraszek też, nie namyślając się długo, wyskoczył jak kozieł przez okno i ze wsi zniknął.

Mijały dni za dniami, zapomniano już o bitce, a Ondraszek nie wracał. Nie groziło mu jednak takie niebezpieczeństwo, jak sądził; bo żołnierz przyszedł do przytomności i wyzdrowiał, nogę tylko miał jedną złamaną i odtąd musiał chodzić na kulach. Najwyżej więc czekało go kilka miesięcy aresztu lub kara pieniężna, którąby w stanie był zapłacić. Zresztą sympatya ludu była po stronie

*) Portaszami zwała się straż wiejska, złożona z włościan, dla utrzymania porządku i bezpieczeństwa, osobliwie zaś na granicy węgierskiej, gdzie najwięcej było łotrowstwa.

Ondraszka, bo widzieli wszyscy, że był brutalnie przez dragona napadnięty, choć nie zaczepiał go osobiście. Dragon opowiadał potem często, iż dawniej nie lękał się nawet dziesięciu chłopów, a w rękach Ondraszka, uczuł się jak zabawka w rękach olbrzyma.

Ondraszek bał się powracać, bo pewnym był, że zabił żołnierza. Czekala go zatem śmierć oczywista. Gdyby się więc we wsi pokazał, poszukiwający go portasze, zakuliby go w dyby i pod sąd oddali.

Prosto więc z Janowic pomknął na Łysą górę i tam w lasach jój i w lasach okolicznych bezradny się tułał. Głód i znużenie poczęły mu dokuczać. Nie miał co jeść, nie brał broni, któraby mógł dostarczyć sobie zwierzyny — nic a nic. Położenie takie rozdrażniało go do najwyższego stopnia. Przytém bał się nawet dużo chodzić po lesie, by nie został schwyconym. Portasze wszędzie idą — a oko i nogi mają dobre. Siedział więc przeważną część dnia cichutko, ukryty w najgęstszych krzakach, trwożąc się każdego szelestu, każdego spadającego listka. Widmo portaszów, a z nimi widmo śmierci stało mu ciągle przed oczyma. Jak Kain z piętnem zbrodni na czole, byłby rad zapaść się gdzie w głębiny ziemi.

Już ośm dni w ten sposób przeszło, ośm dni głodu, strachu i wycieńczenia. Ondraszek postanowił bądźco bądź się ratować i położenie swoje odmienić. Jakoż z myślą przerwienia się do Węgier, gdzieby czuł się daleko bezpieczniejszym, wyszedł ze swój kryjówki i ruszył w drogę.

Zaledwie zrobił paręset kroków, dostrzegł nagle między drzewami światło. Zastanowiło go

to — przystanął. Serce tłukło mu się niespokojnie. A nuż to portasze! Skrył się więc w krzakach tak, że jego nikt dostrzec nie mógł, a on mógł obserwować wszystkich. Wtedy przekonał się, ku wielkiej swej radości, że nie ma do czynienia z jaką bądź strażą bezpieczeństwa, ale z ludźmi, podobnie jak on, zmuszonymi się przed okiem policyi i władz ukrywać. Ludzie ci bowiem, w liczbie dwunastu, siedzący w około ogniska, byli przemytnikami. Przemytnictwo zaś tak przedtem, jak i dzisiaj jest handlem zakazanym surowo, naraża bowiem państwo na wielkie straty. Stąd przemytnik był i jest zawsze ścigany. Mimo tego przemytnictwó ciągle się utrzymuje i krzewi, choćby dla stwierdzenia starego przysłowia, że owoc zakazany, najlepszy.

Ondraszek więc nie potrzebował niczego się lękać. Wyszedł też śmiało z ukrycia i śmiało stanął w obec dwunastu brodatych mężczyzn. Ci wzdrygnęli się, jakby iskrą elektryczną tknięci i na równe zerwali się nogi. Kilku z nich dobyło pistoletów.

— Nie lękajcie się — zawołał Ondraszek — ja tak samo, jak wy muszę się przed prawem ukrywać. Wiem czem jesteście, ale i ja od was nie gorszy, ani lepszy. W przystępie gniewu zabiłem żołnierza i oto ścigają mię portasze. Cóż mi pozostało innego nad ucieczkę. Uciekłem więc z rodzinnej wsi i kryć się muszę. Przyjmijcie mię do swego grona, a będę wam pomocnym i może wybawię was nieraz z kłopotu, bo siłę mam jaką taką a chytrości także mi nie brakuje.

To mówiąc oparł się plecami o jeden z świerków tak silnie, że drzewo pękło w słojach

i lekkiego trzeba było tylko pchnięcia, aby zupełnie się przewróciło.

Przemytnicy nadzwyczajną tą siłą zdumieni, stali chwilę w milczeniu; potem kupą całą rzucili się ściskać mu ręce.

— A to zuch — szeptali między sobą — też on ma siłę nas wszystkich. Dobrego możemy mieć towarzysza.

A głośno rzekli do Ondraszka:

— Zostań z nami, zostań przyjacielu! Takich nam właśnie potrzeba. Przemytnictwo nie jest znowu rzeczą tak zdrożną, więc i sumienie nic ci nie będzie wyrzucało — a do pieniędzy przyjsć można łatwo. Idziemy do Węgier po towary, jeżeli ci brakuje pieniędzy, pożyczym.

— Dziękuję — odparł Ondraszek — nie mam dużo, ale na początek wystarczy.

Wypili jeszcze po kilka lampek wina i wspólnie ruszyli w drogę.

Ondraszek był ich prawą ręką. On wyszukiwał z nadzwyczajnym sprytem najbezpieczniejsze przejścia, on torował niewygodną drogę, on wreszcie umiał prawdziwie lisim sprytem podejść graniczne straże. Przemytnicy nie mogli się go dość nachwalić.

Kilka razy przyszło do rozprawy między nimi a portaszami. Ondraszek wszakże nie znalazł niebezpieczeństwa, bojaźni i pardonu. Portaszów wymłócił, rozprószył na cztery wiatry i znów szedł dalej spokojnie, jakby nic się nie stało.

Odtąd był u przemytników w wielkiem poważaniu. Jednomyślnie obrali go za swego przywódcę i rozkazy jego spełniali w lot i bez szemrania. Powodzenie szajki było niezwykle; dwa i trzy razy tyle odważali się teraz przemycać,

wierząc w ochronę Ondraszka, jak w Boga. Wkrótce poczęły się łączyć z nimi inne szajki, tak, że nie upłynęło pół roku, a banda zorganizowana była najzupełniej.

Rząd jednak nie dał im tak długo hulać; wystąpił przeciwko nim z całą stanowczością. Wysłano w góry cały pułk dragonów od Raciborza i Opola (wówczas bowiem cały Szląsk należał do cesarza austriackiego) z rozkazem choćby wystrzelania całej szajki. Ondraszka tylko, jako przywódcę, miano dostawić koniecznie żywego, aby mógł być przykładnie ukarany. Nałożono na jego głowę kontrybucję w ilości 100 złotych. Ktoby Ondraszka złapał i władzy oddał, miał prawo do 100 złotych. Aby przypadkowo ptaszek nie odleciał na Węgry, zamknięto całą granicę węgierską tak silnym kordonem, że, jak to mówią, »ani mysz przemknąć się niepostrzeżenie nie mogła.

Przemytnicy naprzód już o tem wiedzieli. Nim też wykonano polecenie rządu, oni zebrali się w lesie dla wspólnej narady. Położenie ich stawało się istotnie przykrem; byli jak w łapce, ani w tę, ani w tę stronę nie mogąc się ruszyć. Na dobitek złego banda dość liczna, aby się mogła oprzeć dwustu i trzystu żołnierzom, w części się rozpierzchnęła tak, że ani ich połowy nie było. Zachodziła także obawa zdrady ze strony którego z tych uciekinierów. Reszta więc porozumieć się musiała z sobą stanowczo. Ktoby miał ochotę odejść, pozwolono mu na to w przeciągu godziny; kto przyrzekł zostać, musiał stwierdzić to przysięgą. Całą sprawę oddano w ręce Ondraszka; on miał z tej reszty zorganizować należyty oddziałik.

Z wszystkich, którzy zostali, najbardziej podobał się Ondraszkowi niejaki Jura Juraszek z wsi Malinowic, który z powodu morderstwa spełnionego na osobie dworskiego sługi, zmuszonym był umknąć w góry. Z Juraszkiem tym zaprzyjaźnił się Ondraszek szybko, bo poznał w nim spryt wielki i podobną jemu siłę. Co wynikło potem z téj przyjaźni, zobaczymy.

Na naradzie wspólnej stanęło na tem, aby przemytnictwo, jako rzecz obecnie niemożliwą prawie do wykonywania, porzucić, a w sposób łatwiejszy byt sobie zabezpieczyć. Szczególniej wpłynął na to postanowienie Juraszek, bo Ondrasz niechętnie na krok taki się decydował. Bądź co bądź nie był jeszcze rozbójnikiem par excellence i gdyby nie fatalne zdarzenie z dragonem byłby może nigdy zbójcą nie został. Opierał się więc Juraszkowi jak mógł; ale ten nie dał się zbić z tropu i przekonującymi argumentami skaptował przecież Ondraszka. Odtąd więc przemytnicy zmienili rolę swoją na zbójców. Chodziło tylko o to, komu istotnie z całą sprawiedliwością oddać przewodnictwo. Głos ogólny przemawiał wprawdzie za Ondraszką, ale i Juraszek także kilka głosów otrzymał. Ażeby więc nie było żadnych sporów i nieporozumień, postanowiono, aby bezodwoalnie ten z nich otrzymał główne dowództwo, który w pierwszej wyprawie największe zdobędzie łupy.

Przed rozejściem się (podzielono się bowiem na kilka grup) postawił Ondraszek za warunek, aby nie krzywdzić ubogich. »Możnym ubrać trochę, nie grzech — twierdził podług swojej logiki — ale biednemu wziąć choć pół szeląga,

zbrodnia. Aby więc nikt nie považył się krzywdzić ubogiego. Stanowczo zabraniam!»

Po ostrzeżeniu tem, wypwszy na wiwat po lampce węgierskiego wina, którego kilkanaście beczek mieli w górach ukrytych — rozeszli się każdy w swoją stronę. Ondraszek sam jeden miał wystarczyć za oddział.

* * *

Cicho zrobiło się w kryjówce, bo został się tylko sam Ondraszek, rozmyślający nad tem, w jaki sposób by tu przyjść do łupów. Łamał sobie dosyć głowę nad trudnem zadaniem, ale nagle zerwał się żywo, uderzył ręką w czoło i krzyknął: »A toż ze mnie osioł. Czyż to nie mam na zawołanie potężnego sprzymierzeńca. Lucyno, gdzie jesteś?«

Ledwie słowa te wypowiedział, stanęła przed nim straszna wiedźma, pytając, czego by żądał.

Ondraszek opowiedział jój całe swoje położenie i prosił o wskazówkę, skądby mógł najłatwiej najwięcej zabrać pieniędzy.

Wiedźma odrzekła:

»Idź przed świtem do myszyńskiego lasu, stanij na wrębie i czekaj. Wkrótce spotkasz tam podstarzałego człowieka, który będzie miał przy sobie dwa wielkie worki pieniędzy. Rzuć się nań i pieniądze odbierz. Gdyby się opierał, zastrzel go.«

Potem, wyjmując z zawiniątka śliczne dwa pistolety, dodała: »Oto masz dwa pistolety, z których strzelając, nie chybisz nigdy. Oprócz tego masz i siekierkę. Ma ona w sobie tę moc niezwykłą, że gdy siedzisz na niej i zawołasz: »siekierko w drogę« zaniesie cię natychmiast na

żądane miejsce. Dodać i to muszę, że tylko ta siekierka śmierć ci przynieść może; uważaj więc, by ktoś z niej nie chciał korzystać. Cios od niej bezwarunkowo będzie dla ciebie śmiertelny. W razie zaś, gdyby cię portasze w jakim zamkniętem miejscu, np. w szynku dopadli, wystarczy ci przewrócić do góry dnem szklankę lub kieliszek z którego piłeś, aby wprowadzić ich w stan takiego oszołomienia, że przewracając się będą jak pijani i wzrok zupełnie stracą. Dopiero szklanka postawiona nazad otworem w górę, przywróci im przytomność. Zanim to wszakże kto zrobi, ty w nogi! Bądź zawsze mężnym i śmiałym i pamiętaj na moje warunki!»

Powiedziawszy to, znikła jak duch, a raczej jak mara rozplynęła się w powietrzu. Ondraszek niezmiernie podarunkiem i radami wiedźmy ucieszony, pospieszył natychmiast na wskazane miejsce.

Nie długo czekał. Poczęło już świtać, słońce leniwo wykradało się za lasem, jakby rozespane, niepewne rzucając światło. Chór ptasząt ozwał się zewsząd wesoły, dzwieczny i niewinny. Powietrze, żywicznym zapachem sosen i świerków przesiąknięte, wonne było i w oddechaniu rozkoszne. Wszędzie świeżość, pogoda i niewinna, czysta, szlachetna wesołość.

Ondraszek stał zadumany. Natura przemawiała do niego silnie i duszę nastroiła poważnie. Stały mu nagle przed oczami obrazy dzieciństwa, które jakkolwiek nie były bez zarzutu, lepsze były i czystsze; stała mu pocziwa matka, na łożu śmierci upominająca go do poprawy, a za nią ojciec boleścią trawiony, całe to szczęście w cichym rodzinnym domku, które dobrowolnie podeptał nogami a wreszcie w całej grozie obraz

przyszłości, brzemienno w niespokój, tułaczkę i hańbę, a kończący się śmiercią z ręki kata na szafocie. Dreszcz go przeszedł i żal mu się zrobiło w duszy tego zmarnowanego cichego szczęścia. Oczy łą mu zasły... Kto wie, czy gdyby ofiara nie nadchodziła właśnie, wspomnienia te przerywając, czyby się nie był wyrzekł téj dziwnie pojmowanej swobody, tego życia, na którego progu pierwszy krok miał postawić i czyby nie był, mając choć kilka chwil jeszcze czasu do samotnego dumania, w dom ojcowski powrócił, choćby nocą, ukradkiem, niepostrzeżony i żądał od ojca rady, co ma począć, dokąd się udać i jak żyć nadal przykładnie... Wprawdzie groziła mu tam strasza kara, ale czy istotnie zabił tego nieszczęsnego dragona? Może on żyje... może nic mu się nie stało, a nawet może mu przebaczy...

Takie myśli kotłowały w głowie Ondraszka i byłyby go może zwróciły z obranej drogi, gdyby nie trzask gałęzi, które rozgniała noga oczekiwanego człowieka. Ondraszek łą miał jeszcze w oczach, ale obtarł je szybko rękawem i nie mając już czasu do namysłu, jak ma postąpić, rzucił się na przechodnia, wołając surowo: »pieniądze lub życie!«

»Synu! — krzyknął starzec i runął na ziemię jak dąb złamany piorunem. Z rąk wypadły mu dwa worki złota. Byłto ojciec Ondraszka, idący z kontrybucją do zamku...

Wzdrygnął się Ondraszek i w tył cofnął; na ustach zawisło mu przekleństwo na wiedźmę, która go tak strasznie podeszła. Nie spodziewał się pierwszego dzieła swego zbójckiego rzemiosła, dokonać na ojcu. A w starcu teraz dopiero po-

znał swego ojca. Cóż mu wypada uczynić? Kroku swego już nie odwoła, ojciec go odepchnie... Trzeba być zbójnikiem! oto stanowcze jego postanowienie. Wziął worki z pieniędzmi i jak jelen uciekł z miejsca tragedyi. Przysiągł wszakże czarownicy zemstę, której istotnie, jak się o tem dowiedzie, dokonał.

Ondraszek skrył się znów w góry, a Szesta odzyskawszy przytomność powrócił zbolący do domu, by położyć się na łożo cierpień i nie powstać więcej. Przy skonie modlił się jednak za synem, by nie szedł na wieczne zatracenie. Może Bóg modlitwy starca wysłuchał...

Towarzysze zebrali się na umówionem miejscu i oczekiwali Ondraszka. Rezultaty ich wycieczek były prawie żadne, bo jeden tylko Juraszek przyniósł kilka piętaków, zabranych biednemu bacy w szalasie... Inni nic nie mieli i z kwaśnymi stali minami.

Wreszcie nadszedł i Ondraszek, który wpierw przebrał się w ubiór, jaki dała mu wiedźma. Wyglądał wspaniale. Pieśń, po zgonie jego zapewne ułożona, zachowała nam dokładny opis tego stroju, a zarazem i postaci:

Oj! oj! oj!

Gdzież Ondraszek miły,

Cóżeście zrobili?

Że cię Bóg tak stresał, (skarał)

I nigdy nie przestał,

Któż ci tak podesłał?

Gdzież są twoje szaty?

Gdzie twój łańcuch złoty?

Gdzie są pasamany,

Husar prymowany,

I kabat czerwony?

Gdzie pasy bogate.
 I janczary złote?
 Gdzie są nogawice
 I srebrne babice (haftki)
 Białe rękawice?

Gdzie masz czyżmy złote,
 Przy nich wstążki złote,
 Gdzie strzępki świecące,
 Podkówki iskrzące,
 Ostrogi brzęczące?

Gdzie jest twój karabin,
 Któryś celnie nabił,
 Gdzie są two naboje,
 Pistolety twoje
 I te noże twoje?

Gdzie cedrowa flinta?
 Gdzie spaniała pinta, (szklanka)
 Obuszek misterny,
 Z których miałeś siły,
 Nasz Ondraszku miły?

Gdzie jest twoja głowa,
 Piękna, kędzierzawa?
 Gdzie two włosy śliczne,
 Rumiane oblicze,
 Usta koraliczne?

Oczy, jako strzały,
 Ręce jako skały
 Nogi twoje silne
 W ucieczce niemyłne,
 Gdzieże się podziały?

Gdzie twa umiejętność?
 Gdzie siła i zręczność?

Gdzie śmiałość takiego
Dowódcy mężnego
Jak sokół wartkiego?

Już jest wszystko darmo.
Wojsko robi larmo,
I już widzieć ogień,
Każdy z swoim koniem,
Idźcie z Panem Bogiem!

Podług piosenki téj sądząc, strój istotnie był królewski. W takim stroju stawivszy się przed towarzyszami, musiał podbić ich serca. Toteż na widok jego wzniosł się okrzyk wspólny jak z jednej piersi, a gdy im pokazał dwa worki pełne złota, podrzucili w górę kapelusze i jednogłośnie okrzyknęli go dowódcą. Ondraszek ani szełęga nie wziął dla siebie i zagrabionych ojcu pieniędzy — wszystko rozdał między towarzyszy.

Potem każdy z osobna złożył przysięgę przed nowoobranym dowódcą, na bezwzględne posłuszeństwo i wierność.

Wtenczas dopiero, jako prawny wódz, rozkazał zdać sprawę z dokonanych wycieczek. Usłyszawszy, że Juraszek obrabował biednego pastucha, tak się rozgniewał, że chciał go natychmiast zastrzelić; dzięki tylko usilnym prośbom towarzyszy, darował mu życie.

— Mówiłem wam już raz i poraz wtóry a ostatni powtarzam — rzekł podniesionym głosem — że zbrodnię popełnia ten, kto ubogiego pokrzywdza. Ten winien śmierci! Rzecz inna wziąć trochę z kup złota, leżących po możnych panów zamkach i pałacach; tam braku tego nawet nie uczują i żyć bez paru nawet tysięcy talarów mogą

jeszcze wygodnie. Naszym obowiązkiem jest, nie o sobie samych tylko myśleć, ale i ubogich wspierać. Wszak to nie naszymi rozporządzamy pieniędzmi, więc nie mamy czego skąpić, a biedny lud niech wie przynajmniej, żeśmy pocziwi!»

Dziwna to i dzika pocziwość taka, bezprawnie jednemu brać, a drugiemu dawać — nie prawdaż moi czytelnicy?

O zmroku, na szczycie Łysěj góry wyprawiono ucztę, na cześć Ondraszka, na której wino lało się jak woda.

Ondraszek, czy zapomniał już o świeżem zdarzeniu z ojcem, czy też chciał wspomnienie przygłuszyć, dość, że nadzwyczaj był podochocony.

Podniósłszy lampkę z winem w górę, a drugą ręką podparłszy się pod boki, śpiewał metalowym głosem różne szlaskie ludowe piosenki, które wesołość w bandzie całej wywoływały.

Poszedł ksiądz do lasa
Copem ścinać dęby,
Trafił żabie na ocas
Wybiła mu zęby.
Dalej chłopcy, dalej żywo,
Pijcie wino, pijcie piwo.

Śmiech ogólny wtórował téj śpiewce. Ondrasz śpiewał dalej, posunawszy kapelusz na ucho:

Oprosiła się świnia
Na krakowskim moście,
Porodziła dziewięć żydów
Żydówek patnaście.
Dalej chłopcy, dalej żywo
Pijcie wino, pijcie piwo

zagrzmiał pełnym chórem oddział opryszków.

Ochota wzmagala się coraz większa, bo podnosiło ją ogniste węgierskie wino i z powodu nadchodzącej nocy, większa pewność siebie. Posypały się piosenki za piosenkami, aż któryś z opryszków krzyknął: »Ktoś idzie!«

Zerwano się na równe nogi, każdy za broń uchwycił i ustawiono się jak do ataku. Kilku rozbiegło się szpiegować. Jakaż radość i wesołość była wtenczas, gdy dwaj zbójcy wyprowadzili z gąszczów splonioną i zapłakaną góralską dziewczynę. Dziewczę było piękne i młode; opierało się zbójom, i przestach malował się na jej twarzy. Prowadzono ją przed Ondraszka.

Ondraszek zapytał jej najpierw surowo, co tutaj o téj porze robi. Dziewczyna tłumaczyła się, że przyszła na grzyby, ale znużona zasnęła. Gdy się już zbudziła, a zbudziła się na śpiew opryszków, nie mogła odnaleść od strachu ścieszki i oto dostała się w ich ręce. Upadła Ondraszkowi do nóg, prosząc o darowanie życia.

— Nie rzeźnicy my, moje dziewczę — odrzekł ujmując ją w pól Ondraszek — ale młodzi junacy, którzy kochają piękne dziewczęta. Nie lękaj się, nic ci się tutaj nie stanie, nad to że cię poczęstujemy lampką dobrego wina i zaprosimy do tańca. Jak widzisz, bawimy się, ale bez dziewczyny, teraz pójdzie nam weselej. Złego ci nikt tutaj nie śmie zrobić, bom ja tu pan. Nikt śmiałości swój nie posunie zanadto.. Ot, co najwyżej ukradnę pocałunek.

I mówiąc to ucałował Ondraszek piękną dziewczynę. Poczem pijąc do niej śpiewał.

Ej, labuj, labuj duszo moja*)

*) Piosenki to w narzeczu szląskim, czysto ludowe. Nie przerabiałem ich, aby charakter został niestarty.

Szak labować przestaniesz.
 Skończy się twa uciecha
 Jak miłować przestaniesz.
 Skończy się i miłowanie,
 Skończy ci się całowanie,
 A to wszystko, że na świecie
 Nic stałego neni.

Dziewczę jednakże jeszcze się nie mogło uspokoić i drżąc w objęciach jego płakało z cicha. Ondraszek podał jój kieliszek wina, by wypić i na motto jój łez, huknął, aż po wierzchach gór się odbiło:

Hejże hoj! szumiał gaj,
 Szumiała leszczyna,
 Płakała dziewczyna,
 Jách się śmiał!

I podniósł ją, śmiejąc się, w górę, wy-cisnąwszy powtórnie gorący na ustach jój pocałunek. Tak trzymając ją w swych stalowych dłoniach w powietrzu, począł tańczyć; obracać się w kółko.

Hejże jeny, hejże dyna,
 Jách pacholek, tyś dziewczyna;
 Jách pacholek do roboty,
 Tyś dziewczyna do ochoty.

Jeden z opryszków wydobył jakieś stare skrzypce i począł je stroić. Ondraszek rozpromienił się cały i huknął, krzesząc ogień z podkówiek:

Zaduděj zaduděj
 Lebo mi dudy děj!

a opryszek akompaniując już sobie, odśpiewał:

Wolę ja zadudać
 Jako wam dudy dać!

— i uciał góralaka. Zbójcy związali się w pary i poczęli tańczyć, jak opętani. Ondraszek z ośmieroną już góralką, przodował, wyginając się jak trzcina. Co chwila wódz przystawał i coraz nowe komponował piosnki, a przy akomponiamencie rzucał się w wir tańca, hukając, że aż trzęsły się skały.

Gwiazdy migotały tajemniczo, jak ciekawych ludzi gromada, przyglądająca się niezwykłemu zjawisku. Ciemne lasy na sąsiednich górach milczały jak zakłète, w dolinach także panowała cisza, tylko szczyt Łysiej góry wrzał niebysławem tu nigdy życiem.

Powoli gwiazdy poczęły gasnąć jedne za drugimi, jak lampki kościelne, brzask poczynającego się dnia coraz więcej stawał się wyraźniejszym, cienie rozpraszały się jak mgła za podmuchem wiatru . . . i było jasno!

Wtenczas zbójcy zakończyli zabawę, puszczając wolno dziewczynę — i pokryli się w krzakach, aby wypocząć. A podczas gdy zbójecka tłuszcza po nocnej zabawie hucznej umilkła; natura milcząca przedtem, ozwała się teraz wszystkimi głosami uwielbienia dla Stwórcy. Nad głowami śpiących zbójców, trzepotały się ptaszki z piosenką w gardziołku . . .



Rozdział V.

Ondraszek i hrabia na Frydku.

Od tego czasu napady powtarzały się za napadami. Mówiono coraz częściej to o zrabowaniu jakiegoś dworku, to o obraniu jakiegoś żyda lub podróżnego. Okoliczni mieszkańcy w ciągłej żyli niepewności i strachu. Każdy zamożniejszy lada dzień spodziewał się odwiedzin Ondraszka. Ale prawdziwa była już panika, gdy dowiedziano się o śmiałych napadach na zamki, jak w Błędowicach, gdzie mieszkał hrabia Markłowski, w Szumbarku, Raju i Dębowcu. Wyprawy te wszystkie prawie udały się szczęśliwie. Niefortunną tylko była wycieczka do Błędowic, raz, że zbójcy nie byli jeszcze wyćwiczeni, powtórę, że wystraszyła ich szalona burza.

Portasze nie mieli teraz chwili spokojnej. Jak żurawie czuwali ustawicznie, ale bezskutecznie. Pełno ich było po wszystkich wioskach i po najmniejszych nawet przysiółkach. Zamki wzmacniały załogi — cała okolica była jakby na stopie wojennej.

Ondraszek nie trwożył się wcale przed tą wzrastającą z dniem każdym falangą portaszów, choć lękać się było czego. Gdy bowiem taki portasz, włościanin spokojny i uczciwy, który niczego innego nie pragnął, tylko bezpieczeństwa swęj wioski i stróżował przy niej jak wierny pies, gdy portasz taki krzyknął: »Pomóżcie mi!« — cała wieś biegła mu z pomocą. Była to więc również

dobrze zorganizowana siła, z którą bądźco bądź liczyć się trzeba było. I każdy inny byłby się może cofnął przed nią z lękiem nieklamany, — tylko nie Ondraszek. Ten śmiało szedł choćby na pioruny i wszelkie druzgotał przeszkody. Rozbić oddział dwustu portaszów, byłato dla niego zabawka. Pod takim wodzem i ludzie jego musieli się wyrobić i jednym być ożywieni duchem. Przy tém pomagało Ondraszkowi do zwycięstwa przekonanie ludu, że on z czartem trzyma, a zatem nie może być zwyciężony. Sami portasze przytakiwali tym twierdzeniom, a wójt z Czeladny przysięgał się, że kilka razy udało mu się z bliska strzelić do Ondraszka, ale ten kule dobrze wymierzone, jak piłki w ręce łapał i nazad je odbijał. Ztąd pościg za nim zwolna stawał się słabszym, bo pocóż męczyć się niepotrzebnie, gdy wszelkie usiłowania najmniejszego nie odnoszą skutku. Portasze poczęli więc służbę swoją zaniedbywać, a gdy ich kilku wyprawilo się w góry, zwykle ukrywali się w krzakach i czas swój służby przepali.

Sława Ondraszka coraz bardziej stawała się głośną. Każdy winowajca i przestępca, którego ścigało prawo, uciekał w góry i przyłączał się do Ondraszkowej bandy. A dobrze im wszystkim było; pieniędzy mieli jak plew, bo każdym łupem dzielili się wspólnie. Nie upłynęło pół roku, a już banda liczyła przeszło 200 głów.

Mając taki silny oddział pod sobą i sławę, odważył się Ondraszek na krok śmiały i ryzykowny. Hańba, jakiej doznał niegdyś od hrabiego Prażmy, gryzła go aż do téj chwili, jak wąż jadowity. Postanowił zemścić się na nim. Zemsta ta wszakże nie miała charakteru dzikiego i krwawego,

o jakiej Ondraszek myślał z początku. Chciał on tylko wspaniałomyślnością swoją hrabiego upokorzyć i jeśli można, wejść z nim w dobre stosunki. Zmienił bowiem teraz Ondraszek swe zapatrywania. Postanowił tak zawsze działać, aby jak najmniej krwi rozlewać, morderstw się nie dopuszczać, a w ten sposób miasto oburzenia, odrazy i wstrętu, zyskiwać popularność i względną sympatyę.

Niedaleko wsi Raszkowic, należącój do dóbr hrabiego Prażmy i do klucza Frydeckiego, był polbrzymi zwierzyniec, a w środku niego zamek myśliwski. Tutaj zjeżdżał hrabia na łowy prawie codziennie, wieczorem dopióro, o zmierzchu powracając do Frydka. O zwyczaju tym wiedział dobrze Ondraszek; sam przecież kilkanaście razy był w zwierzyncu z Prażmą. Tutaj więc postanowił Ondraszek spotkać się z nim oko w oko.

Pewnego wieczora, gdy już słońce skryło się za górami, Ondraszek otoczył park swymi ludźmi, a sam z Juraszkiem, przybrany bogato, wszedł do środka. Hrabia siedział właśnie z kilku panami, którzy razem z nim na polowanie zjechali, przy kolacyi w zamkowej sali. Ondraszek wprost tam podążył. Nie mało zdziwił się hrabia, ujrawszy dwóch jakichś nieznanych mężczyzn (nie poznał bowiem Ondraszka), ubranych z przepychem od stóp do głowy. Wstał więc zaraz z krzesła, witając ich uprzejmie. Ondraszek jednak, ku większemu jeszcze zdumieniu hrabiego, prosił by usiadł, gdyż on z towarzyszem swoim chce mu do stołu usługiwać. Wielkie oczy zrobił hrabia, ale nie mogąc przyjść do ładu z myślami, zezwolił na prośbę Ondraszka. Również przyjąć musiał od niego nadzwyczaj uprzejmie ofiarowaną mu srebrną faskę bryndzy. Gdy miał odjeżdżać do Frydka, Ondra-

szek oświadczył chęć towarzyszenia mu aż do zamku, na co hrabia również chętnie przystał, bo dwaj nieznajomi i urodą i bogactwem ubiorów jego samego zdawali się przewyższać. Nie podejrzewał więc ich o żadne złe zamiary. Ale jakież było jego zdumienie i przestach, gdy wychodząc z parku, spostrzegł dwustu uzbrojonych zbójców. Poleciał tylko duszę swoją Bogu i oczekiwał śmierci. Trząsał się całym ciałem; to samo reszta hrabskich myśliwców. Hrabia błagając o darowanie życia, upadł Ondraszkowi do nóg i całował je.

Wtedy ozwał się dowódzca: »Nie lękaj się, miłościwy Panie! Jam sługa jego, Ondraszek. (Hrabia skostniał prawie.) Nazwałeś mię pan prostym chłopem, chamem. Teraz niczego innego nie żądam od Pana, jak publicznego odwołania obelgi!«

Hrabia odetchnął wolniej i rzekł:

— Nie jesteś panie Ondraszku prostym chłopem, ale równym mnie szlachcicem, bo nie pragniesz zemsty za krzywdę, którą ci niegdyś wyrządziłem. Tylko prawdziwa szlachetność zdolna jest do takiego czynu. Odwołuję, odwołuję więc wszystko i proszę pana o łaskawe puszczenie tego w niepamięć!»

Przy słowach tych zdjął hrabia złoty łańcuch ze swój szyi i zawiesił go na szyi Ondraszka.

— Noś go pan — rzekł — boś godniejszy odemnie!»

Po ceremoniach tych, oddział rozdzielił się na dwie grupy. Jedna stanęła przed, druga za powozem. Hrabia wsiadł do powozu razem z Ondraszkiem, zbójcy i powozy ruszyły i tak jechali zwolna aż do miasta. Przed samą bramą, Ondraszek z powozu wyskoczył, dziękując hrabiemu za zaszczyt, jaki go spotkał przez pozwolenie towarzyszenia

mu wraz ze swym oddziałem. Hrabia musiał także pod słowem honoru przyrzec, że w państwie swym nigdy go prześladować nie będzie. Zbójcy wypalili na pożegnanie z dwustu puszek i rozeszli się. Na huk ten wszystko w mieście porwało się na nogi; strażę z bronią w ręku wyległy poza bramy miasta, ale zbójców już nie było ani śladu; Frydczanie zaś kontenci byli, że się skończyło tylko na strachu.

*

*

*

A propos téj faski srebrnej z bryndzą i złotego łańcucha, takie przydać musimy jeszcze wiadomości.

W strzelnicy Frydeckiej znajdował się obraz, przedstawiający Ondraszka w chwili, gdy hrabiemu faskę tę oddaje. Obraz ten spłonął wraz ze strzelnicą Frydecką w r. 1865. Zdarzenie to więc musi być prawdziwe. — Co zaś dotyczy złotego łańcucha, inna wersja jest taka.

Hrabia Prażma był wielki gracz i często porządnie różnych paniczików ogrywał, sam zawsze wychodząc zwycięsko. Grywał on najczęściej po za domem swoim, by hrabina tego nie widziała, w różnych miejscach kąpielowych węgierskich. Przyszła wszakże «kréska na Matyska» — hrabia od jakiegoś czasu poczał przegrywać. Już spore sumy w ten sposób stopniały, ale Prażma mimo tego grał ciągle.

Ondraszek także, przebierając się to za szlachcica węgierskiego, to za niemieckiego obywatela, odwiedzał w letniej porze, gdy mniej było do roboty, różne miejsca kąpielowe Węgier i często spotykał się z hrabią, który go wszakże nie poznawał. Raz znalazł się hrabia w takim położeniu,

że chcąc wyjść z honorem, trzeba było sobie w łeb pałać. Chodziło bowiem o spłacenie szczęśliwemu jakiemuś graczowi wcale okazałej sumy, o którą hrabia grał, nie mając jęj a ryzykując. W lot przybiegł mu Ondraszek z usługą i dopiero, gdy hrabia pieniądze pożyczone wręczył partnerowi, Ondraszek się przedstawił. Hrabia więc od tego czasu z wielkim był dla niego respektem, témbardziej, że nie jeden raz przyszło mu się do sakiewki Ondraszkowej przymilić i zawsze z pewnym skutkiem.

Na tęg podstawie także, opłacając hrabiego, by milczał, odnowił Ondraszek swój stosunek z hrabiną Prażma. Stosunek ten trwał dosyć długo, aż nagle hrabina zachorowała i umarła. Przed śmiercią jednak ozdobiła pierś jego ślicznym złotym łańcuchem, w dowód wdzięcznej i miłej pamięci. Łańcuch ten był najulubieńszym Ondraszka skarbem, czego dowodzi okoliczność, że nosił go zawsze na szyi, aż do samej śmierci.

Oto druga owa wersya, która, gdyby była prawdziwą, bardzo smutne rzucalaby światło na charakter hrabiego Prażmy i jego żony. Jest on tu bowiem człowiekiem bez ambicyi, który daje się okupować przez Ondraszka i pozwala na grzeszny stosunek jego z małżonką. Któż jednak za prawdę tęg ludowej opowieści ręczyć może?



Rozdział VI.

Ważniejsze wyprawy Ondraszka.

Na zamku w Lanckoronie, blisko Kalwaryi, mieszkała bardzo bogata, ale skąpa wdowa. Skarby ukryte w jej komnatach miały być olbrzymie. Złoto leżało we workach i beczkach jak ziemniaki.

Ondraszek dowiedział się o tém wszystkiém dokładnie i postanowił na zamek uderzyć. Chcąc się jednak przekonać o zręczności swych towarzyszków, wysłał ich wpierw samych na wyprawę. Zbójcy wszakże pomimo usiłowań wielkich, do zamku dostać się nie mogli. Bramy zamku były zawsze w dzień i w noc zamknięte i żelaznymi drągami zaryglowane; mury zaś tak wysokie, że po żadnej drabinie nie można się było na nie wdrapać, ani wyłom w nich jaki uczynić! Odeszli więc nazad z niczém.

Ondraszek zbeształ ich za to i w drugiej wyprawie sam osobiście już dowodził. Przekonali się wówczas zbójcy o cudownej prawdziwie zręczności wodza i nadzwyczajnej śmiałości.

Gdy podeszli pod zamek, Ondraszek kazał postawić drabinę na murze przytykającym do zamkowej kaplicy. Po drabinie téj jak kot się wdrapał — cóż kiedy do szczytu wysokiego muru brakowało jeszcze ze dwa sążnie! Ondraszek wcale się jednak tém nie zraził. Olbrzymim zamachem wbił swój obuszek do muru i po nim wskoczył jak piórko lekki na szczyt wygodny. Ztamtąd dopiero wyciągał resztę. Wyłamał kraty w oknie

kaplicy i wpadł do niej z całą bandą. Tu wyważenie żelaznych drzwi nie sprawiało mu wielkich trudności — i w ten sposób dostał się do właściwego zamku. Nie upłynęła godzina, już cała służba dworska leżała jak barany związana wraz z swoją panią, a worki talarów, złota i innych kosztowności, znalazły się w rękach zbójceckich, którzy też nie bawiąc się długo, olbrzymi łup swój szczęśliwie unieśli.

Powiadają, że Ondraszek dążąc do Lanckorony, spotkał górala i kazał mu zaśpiewać coś wesołego. Jeżeli zaśpiewa, dostanie talara, jeżeli nie — zabije go jak psa. Chłop nie załękł się wcale i zaśpiewał:

— Oj w górę Ondraszku, w górę,
Będiesz miał pieniędzy lanckorońskich chmurę.

Przepowiednia ta, która się zresztą sprawdziła, ucieszyła Ondraszka. Dał za nią góralowi czerwienca.

Mówią także, że Ondraszek skarby zabrane w Lanckoronie nie wziął z sobą na Łysą górę, ale zakopał w Czarnym lesie między Zebrzydowcami a Frysztatem. Jest tam przy gościńcu słupek drewniany z obrazkiem, który ma być wskazówką, gdzie skarby te leżą.

Idąc na obrabowanie Lanckorońskiego zamku wstąpił Ondraszek po drodze do bogatego żyda, o którym dowiedział się, że ma dukaty w piecu ukryte. Lud tak o téj wyprawie opowiada:

— «W Lanckoronie w Polsce mieszkał pewien żyd. Piec w jego mieszkaniu zbudowany był z samych dukatów. Ażeby ludzie tego nie dostrzegli, oblepił żyd cały piec woskiem. I zdarzyło się, że wówczas szląscy zbójnicy ciągnęli wyprawą

do Polski, przyszli do Lanckorony i wpadli do żyda. Ale dukatów nie widzieli, bo piec oblepiony był woskiem. Zbójnicy wściekali się ze złości, że nic nie znaleźli — wtedy jeden z nich uderzył w piec nieczem. Piec runął i dukaty rozsypały się na zbę. Zbójnicy pozbierali, ile tylko mogli i uciekli, porwawszy z sobą żyda aż do Girowy. Tam wykopali w ziemi dół głęboki, ukryli w nim dukaty, a żydowi ucięli głowę. Wtenczas zasypali dół równo ziemią, położyli na nim wielki kamień, a na kamieniu głowę żyda. — Żyd musi teraz pilnować tych skarbów.»

Wielu już górali szukało ich, ale daremnie. Głowę widocznie ktoś ukradł — a większych kamieni dosyć na Girowej! . . . —

W Kromieryżu na Morawie była raz w niedzielę wielka uroczystość strzelecka. Trafiano do centrum — strzał trafny nagrodzony był dwustu dukatami. Wtedy zjawił się między strzelcami jakiś pan bogato ubrany, ze złotym łańcuchem na szyi, z mnóstwem pierścieni na palcach. Sługa ubrany był również wytwornie i niósł za nim strzelbę. Gdy rozpoczęły się strzały, Ondraszek, (gdyż onto był w swój własnej osobie), stanął na uboczu przyglądał się strzelcom. Już kilkunastu stanęło do mety, a żaden z nich nie trafił i dalekim był od celnego strzału. Przyszła kolej na Ondraszka. Ten obojętnie odebrał strzelbę z rąk sługi, (którym był Juraszek), zmierzył . . . i wszystkie odezwały się móżdżerze. Kulka utkwiała w samém centrum. Jakkolwiek toby wystarczyło zupełnie, Ondraszek, aby pokazać obecnym, że to nie przypadek żaden, ale konieczne następstwo wprawnej ręki i sokolego oka — kilka jeszcze razy wystrzelił, a kulka zawsze, jakby inné drogi nie znała, wpadała

w sam środek tarczy. Zadziwiło to wszystkich i wypytywano się ciekawie, co to za pan i skąd przychodzi. Nikt jednak nie umiał dać odpowiedzi. Ondraszek przynależną mu nagrodę obojętnie zgar-
nął i dał ją żebraczce, która go o jałmużnę pro-
siła. Żebraczka omal nie oszałała z radości na wi-
dok tylu pieniędzy i poczęła ścisnąć Ondraszka
i całować po rękach i nogach. Ten odepchnął ją
lekko od siebie i rzekł: «Bez tych uniesień! Módl
się tylko za duszę Ondraszka, bo on modlić się
nie śmie!»

Żebraczce wszystkie pieniądze z rąk wypadły,
gdy usłyszała nazwisko sławnego zbója i bezwie-
dnie poczęła krzyczeć przerażona: »Ondraszek,
Ondraszek!»

Na krzyk ten zbiegli się ludzie dopytywać,
co znaczy ten jój przestach. Wtenczas żebraczka,
nie umiejąc zachować tajemnicy, wypaplała, że
tym, który tak celnie strzelał i który nagrodę
całą jój oddał — był Ondraszek. Rzucono się
więc w pogoń za nim — ale znaleziono tylko . . .
wiatr w czystym polu, bo Ondraszek i Juraszek
przepadli gdzieś, jak kamień w wodę.

Na pamiątkę tego zdarzenia, wymalowali
kromierzyżanie obraz, przedstawiający Ondraszka
strzelającego do tarczy i obraz ten zawiesili na
strzelnicy.

Drugie wszakże odwiedziny Ondraszka w Kro-
mierzyżu prawdziwego już mieszkańcom napędziły
strachu. Miano tam wieszać szewca, który zabił
żyda, Ondraszek dowiedziawszy się o tem rzekł
do Juraszka: »Chodźmy do Kromierzyża przypatrzeć
się egzekucyi. Jeszczem nie widział nigdy, jak się
to odbywa!» »Ej panie — odrzekł Juraszek — nie
bardzo mię tam ciągnie. Zdaje mi się jakbym

czuł już stryczek na własnej szyi. Gotowiśmy wpaść w łapkę i całkiem niespodzianie, daleko prędzej niż się spodziewamy, a raczej czego się nie spodziewamy — zawisnąć na téj nieszczęsnej chuślawce!« — — »Nie tchórz! odparł Ondraszek — pókim żyw, żadnemu z was nic złego się nie stanie. Chodź! Juraszek musiał słuchać i poszli. Przybyli właśnie w sam czas, bo szewca prowadzono już pod szubienicę. Ondraszek rozepchnął tłumy i znalazł się tuż obok szafotu. Gdy kat miał już wyrok wypełnić, Ondraszek nagle i błyskawicznie jak pantera, wpadł na rusztowanie, kata precz odepchnął i w miejsce szewca powiesił brata zabitego żyda, który stał przypatrując się na rusztowaniu. Szewca zaś ujął za rękę, pociągnął za sobą i w mgnieniu oka już ich nie było.*) Stało się to tak szybko i tak jakoś omamiło i obezwładniło wszystkich, że nikt zbójcy nie przeszkodził w tym czynie. Dopiero skoro trochę ochłonęli z pierwszego wrażenia i niewinnego całkiem żyda ujrzeli dyndającego na szubienicy, w przerażeniu najwyższem, z miejsca egzekucji uciekli. Władza znowu zarządziła pogoń, ale jak zawsze, bezskutecznie. Kat zaś opowiadał, że kiedy Ondraszek (bo poznali go po śmiałym czynie) odepchnął go między żebra, zdawało mu się, że wien piorun uderzył, tak zdretniał i onieprzytomniał.

Szewc odwdzieczył się Ondraszkowi rzadką wiernością i czuwał nad dowódcą jak duch opiekuńczy. Gdyby Ondraszek był go słuchał, nie byłby tak prędko zakończył życie, jak się o tem czytelnicy w dalszym ciągu opowiadania dowiedzą.

*) Czyn ten jest prawdopodobnie tylko wyskokiem fan-

W niedługo po tym wypadku wybuchła w kraju wojna. Cesarz w wielkim był kłopotcie, bo wojska nie miał tyle, co potrzebował. Wtedy Ondraszek postanowił wybrać się z swymi ludźmi na tę wojnę, a mianowicie dopomagać cesarzowi. Zwołał więc swoich ludzi, których już miał trzysta i rzekł do nich:

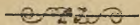
— Wiecie o tem, że w kraju wojna. Cesarz w kłopotcie, bo wojska ma mało. Dopomóżmy cesarzowi. Na teraz zostawmy bogaczy, bo ci ukryli się na wieść o wojnie, jak krety w wnętrzu swych zamczysk i także dobrze zaopatrzyli się w broń i załogę. Gdy zaś przyłączymy się do cesarza, odpuści nam dotychczasowe winy i jakim przywilejem obdarzy!»

Zbójcy zgodzili się chętnie. Ondraszek udał się zaraz do hrabiego Prażma, aby on ten jego zamiar cesarzowi przedstawił. Cesarz pozwolił im brać w wojnie udział: Ondraszka uczynił komendantem oddziału. A nie powstydział się Ondraszek ani swych ludzi, ani siebie samego. Trzystu ich zastępowało dobrze cały pułk wojska. Dokazywali cudów męstwa i waleczności i każdą prawie rozstrzygali bitwę.

Gdy wojna się skończyła i cesarz zwyciężył, zawołał on wtenczas przed siebie Ondraszka i chciał go przy sobie w randze generała zostawić, ludzi zaś jego zamienić na regularny oddział, przez państwo utrzymywany. Nic bowiem cesarz nie wiedział o tem, że Ondraszek jest zbójem i że ludzie jego, to zbójcka banda. Prażma przedstawił go pod innem nazwiskiem i zbójnictwo jego zataił.

Na propozycję cesarza Ondraszek odpowiedział, że jój nie przyjmuje, bo woli być samo-

wolnym panem w swych górach i drugim rozkazywać, a nie drugich słuchać. Cesarz przeląkł się tej ondraszkowej mowy, bo coś przewąchiwał, że to pachnie zbójnictwem. Nie śmiał jednak przekonania swojego wprost Ondraszkowi wyjawić; zakazał mu tylko surowo, po górach rozbijać i zabijać, z wyjątkiem żydów. Gdyby nie zechciał się do rozkazu jego zastósować, obiecał cesarz, skrócić go tylko o głowę.*)



Rozdział VII.

Opowieści ludowe chwalą Ondraszka jako dobroczyńcę biednych.

Bądźcobądź, świadczą o tem już przysłowia ludowe, Ondraszek dla biednych był zawsze liściowy i dobroczynny. »Od buczka do buczka« — znaczy dzisiaj u tamtejszego ludu: »dobra miara.« »Od jodły do jodły, będzie kaftan godny« — znaczy również tyle, co dobrze odmierzyć.

Oto według opowieści gminnych wyjaśnienie tych przysłów:

Jakaś kobieta biedna szła z pod Czerwonej olbrachcickiej na jarmark do Cieszyna. W lesie

*) I znowu mamy do czynienia z ludową wyobraźnią, apoteozującą Ondraszka, przedstawiającą go w idealnem świetle. Baśń tę o udziale zbójców w wojnie, musieli ongi sami zbójcy rozsiewać, chcąc się w oczach ludu wiejskiego podwyższyć. Że coś podobnego nie zdarzyło się nigdy w rzeczywistości, nie ulega wątpliwości najmniejszej. Świadczy o tem także wzmianka, jakoby cesarz pozwolił na obłupianie i zabijanie żydów; — wymysł, aby usprawiedliwić nienawiść Ondraszka do żydów.

stanisławskim zastąpił jęj drogę jakiś wysmukły mężczyzna, pytając, dokąd idzie. »Na jarmark do Cieszyna!« — odrzekła kobieta. »A po co? — zapytał natrętnik. »Kupić płótna na koszule dla dzieci — odrzekła zatrwożona już tem kobieta. »A dużo macie pieniędzy? — pyta nieznajomy. »Dwadzieścia piętaków! — mówi śmiertelnie wystraszona baba, domyślając się w nieznajomym zbójcy. »No, to za to nie kupicie dużo — odrzekł mężczyzna — chodźcie za mną, sprzedam wam więcej i taniej niż w mieście!« Baba poszła z Ondraszkiem (on to był) w głąb lasu; wtenczas on wyjął z ukrycia cały zwój płótna i mierząc go, zamiast łokciem, od buka do buka, co za każdym razem kilka metrów czyniło, odciął większą część zwoju. Pieniądzy nie przyjął; kazał się tylko jęj modlić za Ondraszka, gdyż on sam tego nie może uczynić.

Odtąd z tego oryginalnego mierzenia ondraszkowego, powstało przysłowie. »Od bucza do bucza« komuś umierzyć, znaczy: mierzyć dobrze.

Druga opowieść wyjaśniająca powstanie następnego przysłowia jest taka:

Raz parobczak jakiś szedł na jarmark do Frydka, aż tu w Gaju, w ogromnym lesie pod Frydkiem, wychodzi jakiś pan »szumno« ubrany i pyta: »A dokąd to bracie?«

— Do Frydka na jarmark — odpowiada chłop.

— A cóż tam będziesz kupował? — pyta pan dalej.

— Ot, sukna na kaftan, boć człowiek w takie zimna wielkie, furmaniąc bez kaftana, przemarznie.

— To prawda — odrzecz pan — a dużo też masz pieniędzy?

— Mam dwa złote, całe moje myto, com dostał od gazdy na ćwierć roku; a trzeba mi kupić może ze sześć, siedm łokci.

— A to ci braknie pieniędzy, mój bracie — rzekł pan — a zresztą tu gdzieś blisko ma przebywać Ondraszek; jak cię napadnie, to pieniądze już nie twoje.

— O, nie prawda — odrzekł parobczak — Ondraszka się wcale nie boję, bo to dobry człowiek, onby biednemu jeszcze dodał, niż wziął.

— Tak sądzisz — mówi pan — ano to chodź za mną; zaprowadzę cię do niego. On ci sukno odprzeda daleko taniej i mierzone lepiej niż gdzieindziej w sklepie.

Parobczak odważnie poszedł za nieznajomym. W głębi lasu zatrzymali się pod olbrzymim drzewem. Tu nieznajomy pan wydobył z pod drzewa, pod którym było niedostrzeżone wydrążenie, cały zwój ślicznego sukna i przybiwszy je za jeden koniec ćwioczką do sosny, przeciągał tak dalej od sosny do sosny za jeden łokieć. Kawał wynoszący jakie dwadzieścia łokci uciął i dał go parobczakowi, mówiąc:

— Otóż chciałeś poznać Ondraszka, popatrzże mu się w oczy!

Parobek do nóg mu upadł i płacząc dziękował za tak kosztowny podarunek, bo ma się rozumieć, że ani centa nie stracił; Ondraszek jednak kazał mu powstać i poklepawszy po ramieniu, prosił go tylko, aby się za nim modlił, bo sam nie może. To mówiąc zniknął jak błyskawica.

Raz błakając się koło miasta Frydka, spotkał Ondraszek piękną, młodą dziewczynę, która z cicha popłakiwała.

— Cóż tobie dziewczę — zapytał Ondraszek.

— Ot, serce mię boli — odrzekła — bo kocham Janka, a wydać się za niego nie mogę, bom biedna i żadnego nie mam wiana! Gdyby mi Bóg poszczęścił spotkać się gdzie z Ondraszkiem, ach jakażbym była szczęśliwa, bo wiem że onby mi dopomógł.

Ondraszek, któremu ta dobra sława jaką miał u ludu bardzo podchlebiała, wypytywał się dziewczyny z wszelką dokładnością o tego ukochanego jój Janka, o rodziców, o stosunki domowe, poczem poszedł wraz z nią do miasta, nakupił jój mnóstwo płótna i materyj na spodnice i gorsety, chustki ładne i wstążki jedwabne, trzewiczki ałasowe na wysokich korkach, fartuszki etc. wszystko, co do wyprawy niezbędnie jest potrzebne. Prócz tego dał jój sto dukatów na wiano, żądając za to wszystko tylko szczerzej za nim do Boga modlitwy i aby pierwszemu dziecku płci męskiej dała na imię Ondrasz. Poczem zniknął jój nagle, jak biczem strzelił.

Największą w ogóle przyjemnością Ondraszka było pomagać biednym i radzić im w potrzebie. Dla tego to przebierał się w ubiór walaşy, w jakim wszyscy tam chodzili i przechadzał się po dziedzinach, dopytując o siebie i o potrzeby drugich. Gdy która matka wdowa ubolewała nad tem, że jój syna wzięli do wojska, a ona została sama bez opieki męskiej, Ondraszek zaraz dał jój trzydzieści nieobrzynanych talarów, które wówczas trzeba było złożyć rządowi, chcąc być wolnym od wojska. Gdy inny gospodarz płakał, że mu sprowadzono egzekucyę i rzeczy za niezapłacony podatek zabrali, którego on zaś jedynie dla swego ubóstwa spłacić nie mógł — Ondraszek odno-

wiednią liczbę pieniędzy sam przysyłał urzędowi i chłopu także w garść trochę wsadził. — Gdy dwoje kochało się prawdziwie, a do ślubu jedynie dla braku pieniędzy, przyjść nie mogło, wówczas dla nich otworem stała kaleta Ondraszkowa. — Gdy komu waliła się chata, a nie miał czem jęj naprawić — Ondraszek spieszył z pomocą. Za usługę tę zaś, którejby się najmajętniejszy hrabia ani książę nie powstydzil, żądał Ondraszek dwóch tylko rzeczy, do wykonania łatwych i niekosztownych; żądał by pierworodny syn świeżo przez niego skojarzonego małżeństwa miał na imię Ondra (Andrzej, Jędrzej) i aby ten, który doznał od niego pomocy, modlił się za niego. Nic nad to więcej! Nic też dziwnego, że lud biedny i w ogóle lud go kochał, że go nawet przed pościgami policyi ochraniał, że portasze z dniem każdym czuli się bardziej obezwładnionymi. Na głos ich mało kto teraz się zbroid, a jeśli konieczność wymagała już tego, by stanąć gdzie w górach granicznych na straży, szli poto, by w lasach drzewa liczyć i ścigać wzrokiem wyniosłe góry wierzchołki. Serce ludu było przy piersiach Ondraszka, a gdzie taki stróż czuwa wiernie, jeśli tylko szatan sztukami swojemi go nie przemoże, tam pewne bezpieczeństwo. Ondraszek czuł to dobrze i dla tego wszystkich portaszów razem, ilu ich było, miał za nic i nigdy oni spokojnego snu mu nie przerwali.

Jakkolwiek lud, z którego i on wyszedł, najmilszym był Ondraszkowi, czasami lubił mu nieszkodliwego napędzić strachu.

I tak raz, jak opowieść gminna wspomina, wstąpił Ondraszek do kuma swego Zagóry w Ropicach pod Cieszynem, z myślą wypłatania mu

niewinnego figla. Kum Zagóra prowadził wcale znaczny handel zbożem i pieniędzy było dość w jego skrzyniach. Mimo jednak swego majątku, był skąpcem jak drugiego szukać, ubogiego ani centem nie wsparł, sam nawet sobie i rodzinie najbliższej od ust byłby odjął, by tylko grosza więcej nie stracić! Ondraszek znał dobrze tę jego wadę i właśnie w nią chciał uderzyć! Wybrał sobie do tego dzień, w którym wiedział, że kuma w domu nie zastanie. Jakoż istotnie tak było. Gdy wszedł do domu, zastał tylko czteroletnią córeczkę Zagóry, Hanke, która u przypiecka bawiła się sama i coś pod nosem nuciła.

— Anuś, poznajesz mnie? — zapytał Ondraszek.

— Poznaje — odrzekło dziecko — wyście Ondraszek.

— Patrzcie! A skąd ty mnie znasz?

— Poznaje was, boście piekni i gibcy, a tatuś tak mi was opisywał. Mówił także, że macie dużo, dużo pieniędzy; dziesięć razy tyle, jak my.

— No, kiedyś taka grzeczna i pojętna, masz tu dwadzieścia srebrników, a to kumotrom — rzekł dając dziewczynie dwudziestówkę srebrną i rzucając pod komin drugie tyle.

— Powiedz tylko tatusiowi — dodał — że tu był Ondraszek i że za sześć tygodni wróci, ale wtenczas nie on tatusiowi, ale tatuś jemu musi dać tysiąc dukatów. Niech zatem składa pieniądze, bo jak ich mieć nie będzie, to tatusia tu na téj lipce powiesze. Powiesz?

— Powiem — odrzekło dziecko.

Ondraszek odszedł, a jakkolwiek powtóre się już nie zjawił, bo uczynił to tylko, by nastraszyć sknerę — w domu Zagórow przez długi czas

panował wielki niepokój, a rzeczy wszystkie pewną mającą wartość i pieniądze, wyniesiono natychmiast do najgłębiej we wsi mieszkających znajomych i do wójta.

Drugi raz, o ile wiemy, nastraszył w ten sposób kobietę w Wojkowskim lesie. Szła ona na jarmark. Ondraszek zaczął ją na drodze i począł wypytywać się szczegółowo, co tam po wsiach na niego mówią. Kobieta, nie wiedząc, że ma do czynienia z Ondraszkim, jak to zwykle czynią ludzie, wypaplała co mogła najgorszego na niego: że rabuś, zawłoka, który Bogiem nawet gardzi a prawa za nic ceni, że modłą się, by go wnet djabli wzięli.

Ondraszek przyzwyczajony do samych pochwał, zirytował się tymi zarzutami, ale będąc mocno przekonany, że bądźco bądź są słuszne, nie miał serca baby za to ukarać. Chciał przynajmniej nastraszyć ją i zmusić ludzi do milczenia. Bo powiedzieć tu trzeba, że jakkolwiek znaczna część ludzi pod niebiosa go wynosiła, reszta nie potrzebująca od niego pomocy, a czynami jego zgorszona, jak najsurowsze wydawała nań sądy. Do tych także należała i wspomniana baba. Ondraszek wyjął kilka szóstek i rzekł: «Kupcie tam dla mnie na jarmarku trochę ćwioczków za te pieniądze. Jak będziecie powracali, będę tutaj czekał».

Baba poszła do miasta i gwoździ kupiła. Powracając oddała je Ondraszkowi.

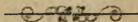
— Ha, babo — rzekł Ondraszek — coście to na Ondraszka mówili? Same niegodne fałsze. Otóż wiedźcie o tém, że każda mowa ma sęczek, a każde słowo ćwieczek; dawaj nogi do okucia!»

Baba ledwo nie zemdląła, poznawszy przez te słowa samego Ondraszka; łzami się zalewając

błagała, aby jój żadnej krzywdy nie robił, że to, co powiedziała o nim, nie wypływa z jój przekonania, ale że tak ludzie mówią, a ona tylko powtarza.

— No, kiedy tak mówisz, jak inni — rzekł Ondraszek — to na ten raz ci daruję. Weź jednak gwoździe te ze sobą i porozdawaj je swym kumom i znajomym i powiedz, żeby każdy, który co złego powie na Ondraszka, te gwoździe wpierw powbił sobie do języka, a gdy potrafią oczerniać, a nie potrafią pokutować i zdobyć się na odwagę przebicia niesfornego języka, on sam to im uczyni, ale wtenczas będzie cokolwiek gorzej!»

W ten sposób starał się zamknąć usta niesfornym.



Rozdział VIII.

Banda Ondraszka.

Ondraszek danego cesarzowi słowa dotrzymywał wiernie. Jeżeli dotąd życie ludzkie było dlań zawsze cenne i nigdy nie odważył się go drugiemu odbierać (z wyjątkiem, jak wspominaliśmy już kilkakrotnie, żydów, do których wrodzony czuł jakiś wstręt niewytłomaczony i krwi ich dzikie pożądanie), teraz témbardziej na każdy krok swój uważał, by czasem w przystępie gniewu za daleko się nie posunąć.

Zresztą nigdy na coś podobnego nie był narażony; wystarczyło mu bowiem wyrzec swoje postrach wzbudzające imię, aby wszelki opór bez krwi rozlewu, bez klątwy nawet ze strony po-

krzywdzonego, w jednej chwili pokonać. Jak tylko rzekł: «Mój panie, jestem Ondraszek, proszę mi oddać pieniądze, abym mógł iść dalej!» — każdy wyjmował co rychlój sakiewkę i oddawał mu bez szemrania, kontent, że jeszcze nie dostał po głowie świecącym za pasem Ondraszka obuszkim. Pano wie po zamkach i dworach, wiedząc o tém, że Ondraszek na cudze życie nie nastaje, również bez oporu opłacali mu z góry przez niego wyznaczoną kontrybucyę. Wystarczało mu tylko posłać którego z swych zbójców do zamku, a i ten nie natrafiał na sprzeciwianie się i zaraz otrzymywał pieniądze. Były nawet wypadki, że pan nie życząc sobie takich odwiedzin, sam w dzień oznaczony posyłał przez lokaja do bandy swą sumę i mógł już być przez cały rok spokojnym.

Ondraszek wszakże, chcąc pokazać panom, że wcale się ich nie lęka, a przytém że się ma za równego im, osobiście przybywał do nich na wieczorek, by się wspólnie z dziedzicem zabawić. Nie zamykano przed nim drzwi; owszem przyjmowano go wszędzie uprzejmie. Ondraszek umiał się znaleźć w towarzystwie i dowcipami swymi nie rzadko dwór rozweselił. Gdy zaś delikatnie poprosił o złotą lub dyamentową broszę, świecącą na szyi gospodyni domu albo o piękny pana pierścień lub zegarek, natychmiast mu je oddawano, nie chcąc na niebezpieczną narażać się z nim rozprawę. Wiedzieli bowiem, że skoro tylko gwizdnie, a ludzie jego tuż.

Nawet najdalsi nie odważali się o nim coś złego mówić, bo Ondraszek dziwnie wiedział o wszystkiém i znieawidzonego mógł zabić, nie będąc przy nim. Wystarczyło mu tylko gdziekolwiekbądź z swój Łysój góry wymierzyć i nazwisko

swego nieprzyjaciela wymienić, a kula jego strzelby każdego dosięgła.

Takim był Ondraszek. Nie koniecznie jednak podobni mu byli jego towarzysze, a zwłaszcza niby najwierniejszy i najukochańszy przyjaciel Ondraszka, Juraszek. Ten często postępował samowolnie, jak o tém np. świadczy następujący wypadek.

Niedaleko od Hukwałdu leży wioska Wietrzykowice. W środku jęj na wzgórzu stoi teraz drewniany kościółek; za czasów jednak Ondraszka nie było tam nawet ani kaplicy, tylko jeden wielki las. W lesie tym polował często hrabia Harasowski. Juraszek, nie mówiąc nic o tém swemu dowódcy, na swoją rękę z kilkunastu rozbójnikami wykonał na hrabiego wcale nie dwuznaczny napad. Banda otoczyła w mgnieniu oka powracającego z polowania hrabiego i brutalnie pod groźbą życia lub śmierci domagała się od niego pieniędzy. Hrabia tak obcesowo natarty odpowiedział celnym wystrzałem z pistoletu, który jednego ze zbójców trupem położył. Rozwścieklona tym wypadkiem szajka, rzuciła się na hrabiego i poćwiartowała go na miejscu.

Wypadek ten uwieczniono obrazem, który hrabina, nieszczęśliwa wdowa wymalować kazała. Obraz ten znajduje się w kruchcie kościółka, jaki kosztem hrabiny wzniósł się na miejscu spełnionego morderstwa. Hrabstwo Harasowscy mieszkają dzisiaj w Tyrnawce pod Przyborem. Obraz ten przedstawia hrabiego Harasowskiego leżącego we krwi na ziemi. Juraszek nad głową jego podnosi czekana a reszta zbójców stoi obok w różnych postawach. Wszyscy ubrani są po wałasku, tak jak do dzisiaj koło Frydka i na Morawii ubierają się Wałachowie. Mówią bowiem, że większa część zbójców

w bandzie Ondraszka, pochodziła ze Starego Miasta, z Janowic i Malinowic we Frydeckim, tudzież z Morawy i Węgier.

Podobnego morderstwa dopuścili się zbójcy z Juraszkiem w Mistku i w innych okolicach, a wszystko bez wiedzy Ondraszka. Gdyby bowiem Ondraszek był się o tém dowiedział, winnych byłby natychmiast zastrzelił. Karność bowiem utrzymywał wielką. W obec niego téż niktby się nawet wspomnieć o czémś podobném nie odważył; za plecami jednak jego z namowy Juraszka popełniano gwałty. To zasmakowało ptaszkom, poczęli więc robić Ondraszkowi wyrzuty, że ich trzyma jak dzieci za ręce i wielu zdobyczy znakomitych pozbawia. Hasłem ich było: bez względu na środki dochodzić do celu; podczas gdy Ondraszek nie każdy środek uważał za dobry, a wielu środkami téj natury się brzydził.

Na czynione zarzuty odpowiadał Ondraszek surowo: «Milczeć i słuchać!» Nie na wiele się to zdało. Większa część była mu niechętna, podbechtowana ustawicznie przez rodzzonego łotra Juraszka.

Juraszek był człowiekiem szkaradnego charakteru. Okazywał Ondraszkowi najgorętszą miłość i przywiązanie, po stokroć razy na dzień powtarzał mu swe uczucia, swą gotowość do poświęceń za niego i mnóstwo innych pięknie brzmiących frazesów; pięknie brzmiących, bo pustych. Z gruntu zaś byłto człowiek fałszywy, podstępny i nigdy z niczego nie zadowolony. Gdy go Ondraszek przyjął, był jak inni prostym łotrzykiem; wkrótce podniósł go wódz do godności swego zastępcy a nawet oddał mu drugorzędne dowództwo, z warunkiem wszakże, że o zamierzonych wyprawach przed ich wykonaniem zawsze go uwiadomi. Ju-

raszkowi i to jednak było za mało, on chciał mieć niekrępowaną w działaniu swobodę. Wszystko więc robił skrycie, aby okłamywanemu dowódcy berło odebrać. Gdy inni smacznym snem zasypiali, on bił się z myślami, szukając sposobu, by Ondraszka podejść i pozbyć się jak najrychlej. Zdumiewało go to, że Ondraszek, choć pierwszy tyle razy na największe niebezpieczeństwa z otwartą szedł piersią, nigdy najmniejszego nie doznał uszkodzenia, ani nawet zadraśnięcia, podczas gdy każdy z nich miał ran po kilka, a paru trupem padło.

Raz zatem zbliżywszy się do Ondrasza z faryzeuszowskim na twarzy uśmieszkiem, rzekł głosem ile mógł najczulszym:

— Ondraszku, bracie i panie! Powiedz mi, co za siła leży w tobie, co za talizman cię ochrania, że nikt cię zabić nie może. Toż przecie wicznie żyć nie będziesz. Nie bierz mych słów za podstęp lub zazdrość, bo wiesz, że każdej chwili krew za ciebie wylać jestem gotów i kocham cię jak prawdziwego mojego brata i więcej jeszcze; ciekawość moja pochodzi tylko ot z téj głupiej palki, która w nadzwyczajności nie wierzy, a przecież podobnego zjawiska, jaki spostrzega na tobie, zwyczajném rozumowaniem wyjaśnić nie umie. Męcę się po całych nocach, by dojść do rozwiązania zagadki, bo taka to już moja natura, że nie zaspokoї się, dopóki nie otrzyma tego, czego pragnie. Ot, jak widzisz, dzieciństwo!

Ondraszek był w niezwykle różowém usposobieniu, właśnie bowiem nadarzyła mu się sposobność wspomżenia biednego. Nie zgniewał się tą ciekawością Juraszka i rzekł:

— Bracie, przysiągłem nie wyjawiać téj tajemnicy nikomu, gdyż to istotnie tajemnica; ale

z tobą wiążą mnie najżywsze uczucia przyjaźni, więc tobie wyjawię wszystko. Zdaje mi się, gdy co mówię tobie, to jakbym do siebie samego mówił. Otóż bracie, cała siła leży w tym oto toporku, który tkwi za pasem. Tylko tym toporkiem można mnie zabić, a niczém inném. Dlatego, jak widzisz, noszę go zawsze przy sobie i nikomubym go nie pożyczył za świat cały. Zresztą po mnie możesz go ty odziedziczyć, a coś mi się zdaje, że ja już nie długo pomiędzy wami. Czuję się jakiś nie swój i niespokojny, zwłaszcza od chwili zgonu ukochanej mojej hrabiny.»

Juraszek ucieszony w najwyższym stopniu poczał ścisnąć i całować Ondraszka, nazywając go największym swoim przyjacielem pod słońcem, a w oczach błyszczało mu złowrogie światło, co to pali, druzgocze i niszczy. Ondraszek tego nie zauważył . . .

Ledwo Juraszek się oddalił, przybliżył się do dowódcy ów szewc z Kromieryża, co to już stał pod szubienicą i rzekł: «Panie! błagam cię, nie zawierzaj we wszystkiém Juraszkowi. On chytry jak lis, a fałszywy jak grób pobielany; on cię zgubi i nie od dziś dnia już na to czeka. Wiem to i dlatego mówię. Strzeż się panie, uprzedza cię twój najwierniejszy sługa».

Ondraszek jednak zgniewał się bardzo tą przestrogą, daną mu przed najszczerzym, jak mniemał, przyjacielem. «Zakazuję ci szewcze — rzekł — rozsiewać tak podłych wieści, a mnie po raz wtóry powtarzać. Juraszek kocha mnie prawdziwie, jak brata; nie ma w nim zdrady.»

— Panie — ośmielił się jeszcze powiedzieć szewc — kiedy nie chcesz słowom moim uwierzyć, pozwól przynajmniej, abym w chwili, gdy Juraszek

będzie z tobą rozmawiał i ja był przy tobie. Jeżeli nie pozwolisz, tu oto na tém drzewie zaraz się powieszę!»

Ondraszek widząc w szewcu prawdziwe współczucie, które zdradzały łzy obfite płynące z oczu, rzekł uśmiechając się: «Krótki masz rozum, no ale niech się stanie twoja wola!»

Szewc uradowany ucałował ręce Ondraszka i wykrzyknął:

«Pierwój ja padnę trupem, zanim ty Juraszku pana mego zabijesz!»



Rozdział IX.

Dalsze losy Ondraszka i jego śmierć.

Wiadomo już czytelnikom, że Ondraszek był wielkim dobroczyńcą ludu, który dolę biednych osładzał, młodych kochanków uszczęśliwiał, dłużników z rąk wierzycieli uwalniał. Jaka też mogła być tego przyczyna i jakie pobudki? Czy mu tak czynić kazało serce, sumienie i czy dobre uczynki były naturalnym wpływem jego natury i charakteru? Prawdopodobnie tak nie było. Ondraszek czynił ludziom dobrze, to prawda, ale czynił to jedynie dlatego, by wpływ wiedźmy pokonać i szyki jój pomieszać. Ponieważ nie wolno mu było się modlić, postanowił sobie modlitwę zastąpić dobrymi uczynkami i obdarowanym polecał modlić się za swą duszę. Dobry uczynek, waży dużo na szali naszych zasług; Bóg wartość jego podnosi wyżej często nad zimno wyklepaną mo-

dlitwę. Ale i czyn musi mieć inicjatywę w prawdziwie dobrém i litościwém sercu, a nie w dumie człowieczej. Jakie tam w sercu Ondraszka grały pobudki, nie wiemy; jeżeli dobre, Bóg mu to na karb zasług policzył i może nie odepchnął go od siebie na wieczne zatracenie . . . Bóg pełen jest nieprzebranej i niepojętej dla nas litości . . .

Lud kochał Ondraszka i modlił się za nim; lud bronił go przed portaszami i naprzód ostrzegał; wśród ludu on mógł głowę bezpiecznie na sen położyć — bo te proste dusze nie znały zdrady ni podstępu. Portasze aż już wstydzieli się sami, że tak długo bezskutecznie zarzucają nań sieci; poczęli więc znowu uwagę swoją i czujność zwracać na Ondraszka i . . . ani razu im się nie poszczęściło.

Ondraszek płatał im wesołe figle. Tak np. raz polował on samiutenek w lesie hukwałdzkim. Portasze dowiedzieli się o tém i dalejże na niego. Dwudziestu ich aż pościgało za nim do lasu. W obec tylu chłopów, a wybrały się same dęby, Ondraszek uczuł się bezsilnym. Mógłby może chytrością i zwinnością swoją pokonać przeważającą siłę, jednak nie próbował tego, bo i tak czuł się bezpiecznym. Cóż, choć go zwiążą i zamkną? Czyż mu brak potężnych tajemniczych środków, którymi mógłby się z więzienia uwolnić!?

Dał się zatem uiąć i związać łykami; portasze bowiem, będąc przekonani, że zbójca z czartem trzyma, woleli z ostrożności użyć łyk, jak żelaza. Tak związanego sprowadzili do zamku w Hukwałdzie. Nazajutrz miano ciągnąć z niego protokół. Gdy ludność okoliczna dowiedziała się o schwytaniu Ondraszka, poczęto się zbiegać do Hukwałdu, aby własnymi oczami widzieć tego sławnego opryska. Cóż się jednak dzieje! Rano urzędnicy

zasiadają w sali i każą wołać przestępcę. A tu portasze trzymający straż u wejścia do kaźni, leżą na ziemi jeden na drugim jak martwi, drzwi otwarte i urwane z zawiasów, z okien kraty wydarte tak, jakby ktoś pajęczynę zdmuchnął. Wyobraźcie sobie, co za przestrach był w zamku i w całym Hukwałdzie; lud zaś, który się zbiegł, prowadzony ciekawością, dziękował Bogu, że Ondraszek wyszedł cało. W jaki sposób on zemknął — lud nie umie wyjaśnić; być może iż uwolnili go towarzysze, albo sam przy pomocy siły nadziemskiej kajdany swoje zerwać potrafił.

Zdarzało się to często, że portasze spotykali się z Ondraszkim w karczmie gdy z dziewczętami tańczył. A trzeba go było widzieć tańczącego! Aż oczy się wyrywały za nim, dziewczkom serca się tłukły do niego, każdaby pragnęła choć raz z nim dokoło izby pohulać. Bo téżto był mężczyzna jak szukać, taki piękny, gibki, zgrabny — a gdy tańczył, ani go słyhać nie było.

Raz wśród takiego tańca i ogólnej wesołości, wpadają portasze do karczmy i rzucają się na Ondraszka. Ten nie bronił się wcale, bo znów mu przyszedł figiel do głowy. Podczas gdy wszyscy płakali i odpychali portaszów, on sam był jak najspokojniejszy. Gdy go już związano i miano prowadzić, Ondraszek rzekł: «Panowie portasze, pozwólcie mi jeszcze na ostatek wypić zdrowie Cesarza Pana!» Portasze zezwolili. Ondrasz wychylił szklanę i postawił ją dnem do góry. Wówczas wszystko, co tylko w karczmie było obecném, upadło na ziemię bez przytomności, Ondraszek umknął. Na drodze spotkał chłopą. «Idź — rzekł mu — do karczmy i odwróć szklanę stojącą na stole, dnem na dół!» I dał mu za to talara. Chłop

nie wiedział, co to znaczy i choć przyszedł wprost do karczmy, długo się namyślał nad szklanką, czy ją podnieść, czy nie, bo obawiał się czarów. Wreszcie, może po półgodzinie, podniósł ją i postawił dnem na stół. Wtenczas wszystko podniosło się z ziemi całkiem przytomne; portasze także zebrali się w kupę, ale już było zapóźno. Ondraszek był już między swoimi.

W wyprawach nie było nad Ondraszka dowódcy. Gdy przyszło mierzyć się z silniejszym od siebie nieprzyjacielem, tak potrafił swój oddział ukryty ustawić, że wróg pewnym był, mieć do czynienia przynajmniej z pięciuset ludźmi. W ten sposób zawsze nieprzyjacielowi podrywano nogi. Gdy im groziło niebezpieczeństwo, wystarczyło tylko świsnąć Ondraszkowi, a cały oddział tak się gdzieś zakopał, że portasze głupieli. Świstać zaś i gwizdać umiał Ondraszek silniej od gwizdka lokomotywy.

Zwykle schodzili się zbójcy na naradę na górę zwaną dziś po Ondraszku, Ondrasznikiem lub Ondrzejnikiem. Tam zakreślali plan wycieczek i działań na cały tydzień, tam zdawali zbójcy sprawozdanie z swęj tygodniowej czynności, tam wreszcie po ukończeniu urzędowania, odbywały się biesiady, tańce przy śpiewach i muzyce.

Tu również popisywał się Ondraszek ze swymi sztukami i swą atletyczną siłą. Np. kładł się brzuchem do góry, na piersiach stawało mu czterech mężczyzn bez żadnej dla niego szkody, ręce wznosił w górę i na każdej dłoni po dwóch się trzymało. Albo nosił na swych barkach pięciu do sześciu najcięższych zbójów i wraz z nimi tańczył a nawet przeszkody przeskakiwał. Przyznacie, że to nadludzka prawie siła. Lub np. rzucał to-

porkiem na szczyt najwyższego świerka i koniec jego odcinał, siekierkę w jedną, odcięty wierzchołek w drugą równocześnie łapiąc rękę. Mnóstwo takich sztuk umiał, o jakich dzisiaj ani nie śnią wszyscy razem atleci i akrobaci.

* * *

Nic stałego nie ma na świecie, ani szczęścia, ani zdrowia, ani majątku, ani życia. Wszystko się zmienia i wszystko psuje. W miejsce startych kółek maszyny, przychodzą nowe, gdy te się zetrą, znów inne, ale maszyna iść musi wiecznie.

I na Ondraszku miało się to sprawdzić, że straszny fatalizm ustępowania z miejsca drugim, usuwania się nowym siłom i życiom nowym — nigdy o nas nie zapomina i wcześniej lub później nadchodzi. Nad głową Ondraszka ściągały się groźne, burzliwe chmury, z których miał paść druzgocący piorun.

Juraszek coraz częściej i coraz krwawszych dopuszczał się gwałtów. Skargi o zabicie, poranie, ograbienie nawet biednych, rosły codziennie na półkach sądowych i policyjnych. Cesarz widząc, że Ondraszek słowa danego nie dotrzymuje, kazał go ścigać, ale nie zabijać. Za dostawienie go żywcem dawano 100 talarów nagrody. Przykro było cesarzowi posuwać się do tak stanowczego kroku, bo czuł dla Ondraszka wdzięczność za pomoc, jakiej mu ten udzielił w wojnie; prawo jednakże nakazywało jak najsurowiej obchodzić się ze zbójcą. Ale poszukiwania choć długie, były bezskuteczne. Hrabia Prazma spełniając dane słowo honoru, nie prześladował go wcale i choć wiedział dokładnie o jego pobycie, nie zdradzał. Oskarżono go więc przed cesarzem, że ze zbójcami trzyma i w państwie swoim, w dobrach swych pobyt im ułatwia

i zabezpiecza. Cesarz krótko na to odpowiedział. Rozkazał Prażmie w przeciągu roku dostarczyć Ondraszka. Gdyby tego nie uczynił, pójdzie na szubienicę. Rozkazu tak stanowczego i taką obciążonego groźbą, hrabia Prażma nie mógł sobie lekceważyć i odkładać ad acta. Wszakże tu groziła mu śmierć pewna — a każdy do tyła jest egoistą, aby życie własne przenosił nad życie drugich.

«Żywego nie dostanę — rozmyślał hrabia — zresztą dałem mu słowo. Trzeba go będzie sprzątnąć, tak, niby przypadkowo, gdzieś na polowaniu lub przy innej jakiej okoliczności!»

Pomimo zdecydowania się swego, choć rok już upływał, hrabia nic nie wskórał. Ondraszek nie pokazywał się w zamku frydeckim, przestrzeżony od szewca, który nie wiadomo skąd dowiedział się o zamiarze hrabiego.

Hrabia był bardzo niespokojny, po nocach spać nie mógł; gdy spał, śniły mu się na przemian szubienica i skrwawiona głowa Ondraszka. Zafrasowany taki wyszedł raz do lasu i spotkał starą babę, proszącą go o jałmużnę. Hrabia jałmużnę dał i chciał iść dalej, lecz baba zatrzymała go pytaniem:

— Czego pan hrabia taki smutny? Możebym mogła dobrze poradzić. Widzę, że tu tak coś jak o życie lub śmierć chodzi.

Hrabia zdziwiony istotnym przypuszczeniem dziadówki (a była nią ta sama wiedźma, która Ondraszka miała w swych rękach, a teraz lękając się, by jej Ondrasz z rąk nie uciekł, co rychło chciała go wpakować do piekła), odrzekł:

— Oj, smucę się, moja kobieto i mam się czego smucić; jeżeli w przeciągu czterech tygodni

nie zabije Ondraszka, sam bede wisial. Juzem sie namodlil o dobre natchnienie, ze az mie kolana bolą i odgniotów na nich dostalem — a tu nic i nic; zadna szczesliwa mysł do głowy nie wpada. Gdyby mi kto powiedzial, zapisz sie djablú, a Ondraszka zgładzisz, zrobilbym to bez wahania! —

— Czart panu nie pomoze! — ozwała sie, smiejac sie jak mlode zrebie, wiedzma — bo Ondrasz sam jest juz w rekach czartowskich. Ale wie pan o tem dobrze, ze tam gdzie djabeł nie moze, babe pośle. Przyjmijcie tedy moja rade. Ondraszka nikt inny nie zgłodzi, tylko Juraszek!»

Hrabia nie chcial temu uwierzyc odwołujac sie na przyjazn Juraszka. Ale wiedzma rzekla:

— Co pan hrabia mowisz o jakiejś tam przyjazni między Ondraszkim a Juraszkim. Juraszek nawet nie zdolny jest do przyjazni. Jestto czlowiek zadny chwały i pieniedzy. Ondraszek mu zawadza. Przyrzeknij mu pan dowódstwo na miejsce Ondraszka, a ani chwili sie nie zawaha w wykonaniu krwawego wyroku. Żywego bowiem nigdy go nie dostaniecie.

Hrabia namyslal sie jeszcze nad słowami czarownicy; wreszcie zdecydowal sie wejsc w porozumienie z Juraszkim. Ten najochotniej na wszystko sie zgadal; hrabia obiecal tak jemu, jak i jego towarzyszom łaske cesarza, a Juraszkowi samemu dowódstwo, nie mowiac juz o zaslužonej nagrodzie. Chytry Jurasz kazal sobie tę całą obopólną umowe napisac na stęplu i wtenczas dopiero zaspokojony odszedl.

Odtąd Juraszek nie byl ani chwili wesołym; mowiac do Ondraszka nie smial mu w oczy odwaznie i smialo spojrzec, co szewc zaraz zauwazyl i uwage swoja zakomunikowal Ondraszkowi. Ten

jak zwykle, zbeształ go tylko i kazał milczeć. Szewc jednak nie odchodził Ondraszka ani na krok. Czuł on dobrze zbliżające się niebezpieczeństwo i dziwił się zaślepieniu pana, który niczego dostrzec, ani odczuć nie umiał, wierząc w Juraszka, jak w świętą ewangelię.

*

*

*

Na drodze z Frydka ku Świniowu jest wioska Świadniów. W Świadniowie jest «gospoda» (dom zajezdny, karczma) zwana Horakową, pamiętna straszną śmiercią Ondraszka. Nastąpiła ona niespodzianie, a sprawcą jój był nędzny Juraszek.

Wypadek chciał, że Ondraszek postrzelił niechcący jednego z swych ludzi na polowaniu. Zdarzenie to było mu tak przykrém, że dniem i nocą siedział przy chorym, pielegnował go jak własnego brata i wreszcie dzięki tym staraniom chory zupełnie wyzdrowiał. Ondraszek dzień téj zupełnej rekonwalescencyi postanowił uczcić uroczystym bankietem. Bankiet miał się odbyć w karczmie Horakowej. Tam téż zaprosił kilkunastu zbójców, a między nimi Juraszka i szewca.

Kiedy już uroczystość przy dźwiękach muzyki góralskiej się rozpoczęła, Ondraszek wznosił toast na cześć rekonwalescenta. Wszyscy odpowiedzieli głośnym wiwatem z wyjątkiem tylko jednego Juraszka, który na pozór udawał wesołość, ale przygnębionym był i rozdrażnionym, jak ten, co ma na myśli, coś złego wykonać! Często mimo ogólnej wesołości, zachmurzał się i demonicznym wzrokiem patrzył na Ondraszka. Szewc, który każdy krok jego śledził a dobrym był znawcą ludzi, zauważył ten niezwykle stan duszy Juraszka. Do pana swego z tém bał się jeszcze udawać, bo Ondraszek był w nadzwyczaj dobrym humorze.

Ktoby mu właśnie w chwili takiej przeszkadzał, mógł się od niego spodziewać jeśli już nie kulki, to przynajmniej pamiętnego wypłazowania. Szewc milczał więc, ale uważał bacznie.

Przyszły tańce. Ondraszek tancerz zapamiętały, pierwszy rzucił się do niego. Przetańczono już kilka razy, a zgromadzenie aplauzem ogólnym nagrodziło dowódcę za jego nieporównaną wdzięczność i zręczność! Rozgorączkowany tém Ondraszek krzyknął: «Któż potrafi mi w tańcu wyrównać, kto?»

— Ja — zawołał butnie Juraszek — pożycz mi tylko twego obuszka, ażebym mógł nim tak samo, jak ty, wywijać!!

— Dobrze — rzekł Ondraszek — ale jeśli wywrócisz koziołka, wyskubiemy ci wszystkie pawie piórka z kapelusza.

Szewc przyskoczył wtedy do Ondraszka i rzekł cicho:

— Panie, na miłość Boską, nie oddawaj obuszka z swęj ręki, bo Juraszek coś złego zamyśla. Panie, choć ten raz mię wysłuchaj.

Ondraszek, nie przeczuwając nic złego, kazał się szewcowi za drzwi wynosić za to, że jest takim oszczercą.

Szewc przyjął poniżenie ulegle, wyszedł na pole, ale stanął przy otwartém oknie z nabita strzelbą.

Juraszek począł tańczyć i dość niezgrabnie w porównaniu z dowódcą; zaczęto w kułak pośmiewać się z niego. Juraszek udawał, że nic nie słyszy; nagle, gdy para zbliżyła się do samego Ondraszka, rzucił się nań i tak silnie uderzył go w głowę siekierą, że ten tylko krzyknął: «Jezus, Marya, Józef!» i już nie żył. Szewc w téj chwili

trzelił do zdrajcy, ale chybił. Nie mogąc dla braku naboju, strzału poprawić, w najwyższej rozpaczyniebiegł nad Ostrawicę i w nurtach ję się utopił.

Przerażenie i zamieszanie, jakie stąd wynikło, nie da się opisać. Nikt przecie nie odważył się ukarać Juraszka, bo strasznie wyglądał. Wydawał się być uosobistnionym demonem. Wszystko więc rychło opuściło karczmę, żałując głęboko swego łobrodzieja. Co do Ondraszka, być może, iż Bóg w litości swęj nieprzebrany, przyjął go, jak owego łotra na krzyżu, do chwały swęj niebieskiej.

Ciało jego kazał rząd rozciartować i dla postrachu pozawieszać części jego na topolach przy drodze Starego miasta i miejskiego lasu.

Opowiadają w Czeladnie, że mają tam ulicę z jednej topoli, na której ciało Ondraszka wisiało. Z wiosną wypuszcza on latorośle, co ma być znamię, że wisiał na nim niewinny, bo i szubienica się zazieleni, gdy niewinny był na niej powieszony. Tak mówią ludzie . . .

Inni zbójcy dostali ułaskawienie, ale pod tym warunkiem, że wrócą do swych siół i będą gospodarować na roli uczciwie, nie wdając się w żadne wiejskie sprzeczki i rąunki.

Najbardziej jednak uradował się hrabia. Zaraz doniósł o tém cesarzowi, ale ten zgniewał się, że Ondraszka zabito; powołał hrabiego do Wiednia, skąd ten podobno nie powrócił. . . . *)

*) Ma się rozumieć, że wszystko, co o cesarzu i o hrabiu frydeckim mówią, jest czystem zmyśleniem i fantazyą.

Rozdział X.

Z a k o ń c z e n i e.

Zbójcy po śmierci Ondraszka nie wiedzieli co czynić; czy korzystać z ułaskawienia, czy nad rzemiosło swoje prowadzić. Najbardziej wszakże dręczyła ich niepewność, gdzie Ondraszek skarby swoje zakopywał. Jak już wspominaliśmy, Ondraszek zawsze dzielił się równo z swymi towarzyszami, ale kiedy oni wkrótce pieniądź przepuścili, Ondraszek połowę przeznaczał na biednych, a resztę zakopywał w miejscach bezpiecznych, których to skarbów strzegą teraz podobno złe duchy. Mają się one znajdować podobno na Łysiej górze, Ondraszniku i bardzo obficie na Kaźniczu przy Hukwałdzie, oraz w wielu innych miejscowościach. Tak np. w Czarnym lesie przy Zebrzydowicach, jak lud mówi, jest zakopany olbrzymi skarb, wywieziony z zamku Lanckorońskiego. Niektóre z nich miały być na dobry cel przeznaczone. Np. skarb Łysogórski przeznaczył podobno Ondraszek jeszcze za życia na wybudowanie kościoła w Mizerowie przy Frysztacie. Składa się on z kilkunastu tysięcy talarów i szczerozłotych naczyń kościelnych.

Zbójcy dość po wszystkich wzmiankowanych miejscach szukali, ale nic nie znaleźli. Lud opowiada, że znajdzie go tylko ten, który będzie większym jeszcze dobroczyńcą ludu, jak Ondraszek. Ale ten podobno bardzo późno (może dzień przed końcem świata) ma się urodzić. . . .

* * *

Banda Ondraszkowa po jego śmierci nie przyjęła ułaskawienia, przekładając życie zbójckie

nad pocziwe. Zgromadziła się bez braku pod Juraszkiem, który teraz dowództwo odebrał. Nie krępowani niczem, dokazywali oni teraz cudów zbrodni i bezceństwa, krzywdząc i biednych i bogatych zarówno. Kara wkrótce miała ich spotkać. Zgromadzających się na Groniu, powyżej pomieszkania Juraszkowego, zdradził jeden ze zbójców, Jan Południk. Otoczono ich, połapano i poczuwając od Juraszka powieszono na hakach, żeby przecie ludzie tak swobodni, nie mogący znieść kajdanów prawego ziemskiego życia, mogli . . . jak ptaki zawisnąć w powietrzu. Marzyli o tem całe życie, żeby jak ptaki sobie w powietrzu pochulać, nie zrobiono im więc nic złego, tylko spełniono ich życzenie. A że człowiek o własnych siłach nie może się utrzymać w powietrzu, musiano dla wygody uczepić ich za coś. Za nogę byłoby i nie estetycznie i niefortunnie, musieliby bowiem ciągle patrzeć tylko na ziemię. . . . Aby więc dobrze mogli się światu przypatrzeć, zaczępiono ich za szyję. Musiał im się ten świat, tak z powietrza wolnego widziany, nadzwyczaj podobać, bo wszyscy jeden w drugiego, jakkolwiek ludzie bywalcy, co to nie z jednego pieca chleb jedli, z wielkiego zachwyty nie tylko oczy wylupili na wierzch tak bardzo, że im ledwie z opraw nie wypadły, ale i usta otworzyli na oścież, jak to czynią ludzie prostacy, gdy coś ciekawego zobaczą. Musieli tam zobaczyć i coś takiego, na co ślinka człowiekowi idzie, bo i języki nie mogły w ustach wytrzymać, a wcale niegrzecznie wydostały się na wierzch. . . . Ptactwo niebieskie polatywało nad ich głowami, ten symbol wolnego życia, wszystko, czego tylko zapragnąć mogli. . . .

* * *

A teraz zróbmy reasume z całego naszego opowiadania i zadajmy sobie pytanie, czyli Ondraszek istotnie był takim prawdziwie idealnym zbójnikiem, jak go nam powieść przedstawia, czy też prostym złoczyńcą.

Według opowieści gminnych, Ondraszek, obok kilku cieni, które zdają się jakby przypadkowe, występuje wszędzie jasno, szlachetnie i dobroczynnie. Nie modli się, bo modlić się nie może; zato prosi o modlitwy i codziennie jakieś dobre pełni uczynki. Biednym pomaga i zawsze ma dla nich litościwe serce; sam nawet wynajduje i szuka ubóstwa, aby wywieść z niego nieszczęśliwych. Surowo zakazuje krwi rozlewać, złupione skarby przeznaczają na piękne cele, na budowy kościołów etc. Umie nawet ślepo się zaprzyjaźnić. Zesumujmy to razem, aby z tego choć jeden wydobyć czysty, bez fałszu promyczek. Czy jest? Osądźmy. Gdzież była wówczas dusza Ondraszka, czyż spała, gdy zły duch kął w niej zasiewał? Nie! Ondraszek porozumiewał się ze złymi podszeptami całkiem świadomo, powoli i z przygotowaniem. Kto tak czyni, z gruntu czarną i zepsutą musi mieć duszę; skądże więc ta pozorną jego pobożność, wyrażającą się w prośbach o modlitwy i w spełnianiu dobrych uczynków? Czyż to nie krzycząca sprzeczność, psychologicznie niemożliwa? Ma serce litośne i czułe, bo odczuwa nędzę i troski biednego ludu — ale gdzież było to serce wówczas, gdy ścisnęły go ciepłe dłonie rodzicielskie, gdy słodkie usta ich całowały go i gdy najbliższe mu serca, nienagrodzoną były dlań miłością? Skądże wobec tego moralnego cynizmu i kamiennej duszy, występującej na jaw z całym wstrętem u grobu matki — skądże to wyszukane dobrodziejstwo

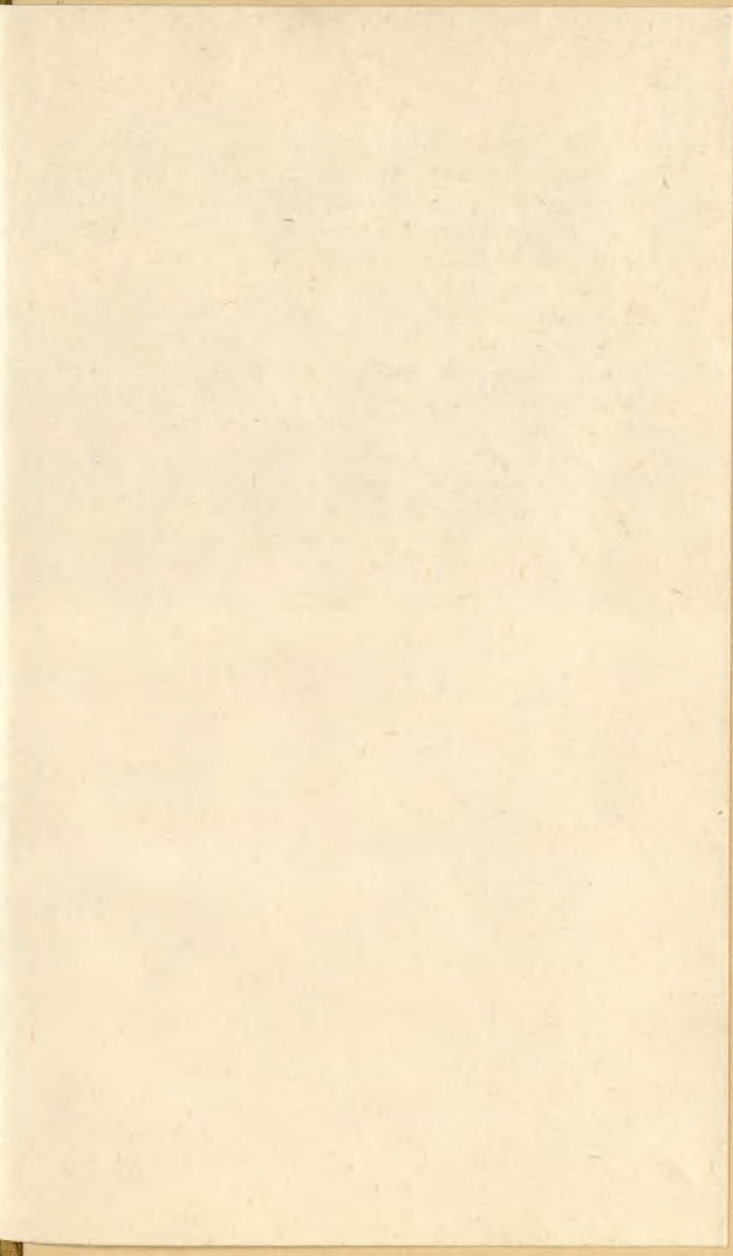
i to egzaltowane serce dla ludzi mu obcych? Także najmniejszej psychologicznej logiki. Zakazuje surowo krwi rozlewu — od młodu pastwić się po zwierzęcemu na niewinnych mu żydach i potem jako zbójca wyłączając ich z pod swego prawa. Cóż mu wreszcie po tych kościołach, które chce wybudować z łupów nieprawnie i czysto po zbójceku zagrabionych z kościołów i świątyń innych, wiekami starożytności i cudami uświęconych? Czyż jest w tem sens jaki i jaka prawdopodobność? Tak może opowiadać tylko lud nie obliczający się z możliwością i logiką — aby tylko zapoteozować swego bohatera. Wreszcie gorąco się zaprzyjaźnia z Juraszkiem, człowiekiem sto razy od niego podlejszym, oszustem; mordercą etc. (on niby człowiek taki szlachetny). Ależ przyjaźń jest szlachetniejszą od miłości. Tu duch tylko na wskrós czysty, biały, płomienny i podniosły może być przypuszczony do wrót przyjaźni, bo tu tylko kraina ducha — gdy tam przeważnie, w miłości, grają nerwy, krew i zmysły. Więc i ta przyjaźń kłamliwa i nieprawdziwa. Gdy go więc obierzemy z tych blasków — cóż się nam zostanie? Nic nad duszę czarną, wyuzdaną, zepsutą, nic nad proste indywiduum najzwyklejszego zbrojcy. Do tego doprowadza nas sam rozsądek.

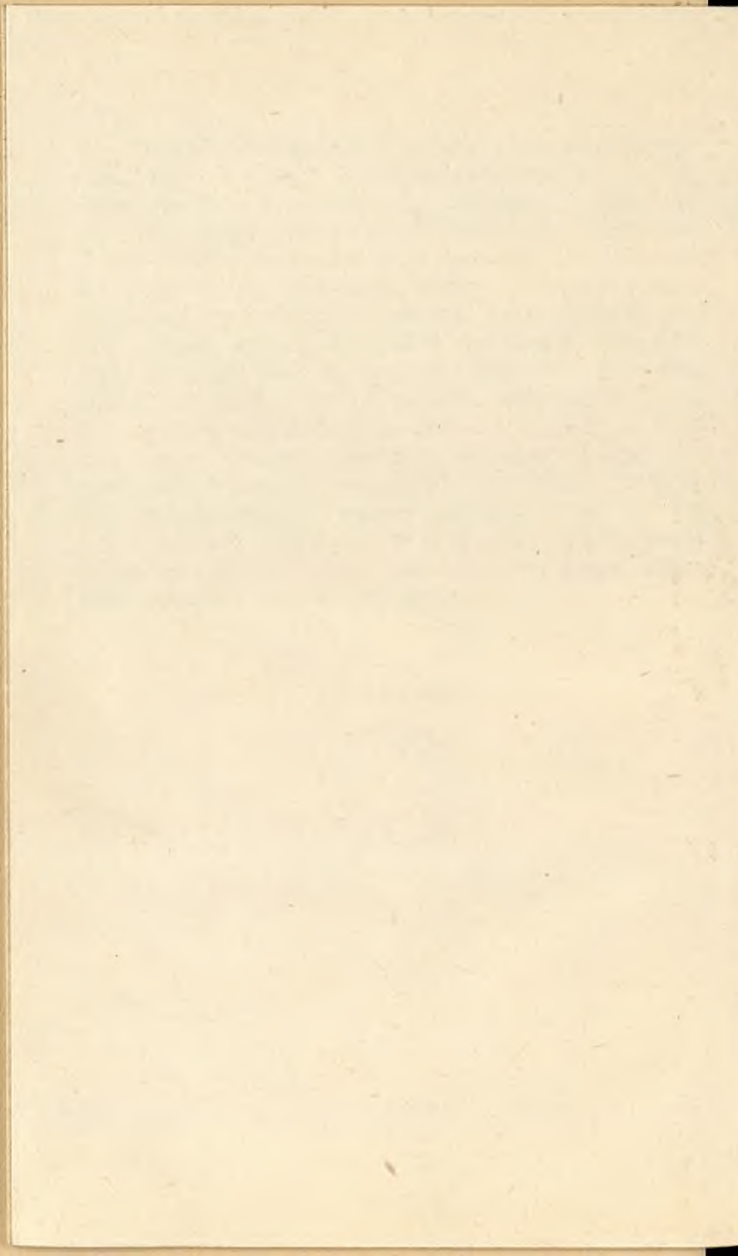
A historya? Jeśli nie gorzej, nie świadczy lepiej. Wszystko co pewnie wiemy — przeciw Ondraszkowi przemawia. Że nie chciał rozlewać krwi — to jedynie dla tego, żeby nie oburzać na siebie zaudto wszystkich warstw ludzi; że lud wspierał — jedynie dla tego, by sparaliżować siłę portaszów, którzy na jeden okrzyk: „pomagajcie nam!“ — całe wsi w lot około siebie ściągali.

Nie idealizujcie więc sobie, szanowni Czytelnicy, tego, co złe i co nie szlachetne — bo to rzecz bardzo niebezpieczna. Zatraciecie przez to poczucie złego i dobrego i każdy zły czyn nie będzie wobec was miał tego piętna. O! chrońcie się przed czemś podobnem. Mamy jasne, świetlane, serdeczne, poświęcające się za całą ludzkość postaci; ludzi, którzy dla dobra ludzkości wszystko dali, co mogli dać najlepszego: siły swe żywotne, talent, szczęście, pracę twardą, żelazną, majątek i życie; mężów, którzy w cichości i pracy, a chyłąc się w pokorze przed majestatem Boga, wyparli się, wyrzekli wszelkich dla siebie wygod, najniezbędniejszych nawet potrzeb życia — by tylko biednej, łaknącej i pragnącej braci swojej dopomóc. Kogóż wam cześć należy, kogóż światłem ozłacać: ich — czy jego?

K o n i e c .







1000
15, 18, 24, 47, 62, 65, 73/4, 79, 92, 97

Książnica Cieszyńska

KD I 1018